Nr 11 Listopad 1901 Rok XXI.

PRZEDŚWIT



MIESIĘCZNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

LONDYN

Z DRUKARNI POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

Warunki prenumeraty:

Rocznie: 5 fr. — 4 sh. — 4 m. — 2 złr. 40 ct. (w kopercie 4 złr.) — 1 dol. — 10 milreisów. — Nr. pojedyńczy: 45 centim. — 4 d. — 35 fen. — 20 ct. austr. — 10 ct. amer. — 900 reisów.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:

Józef Kaniowski, 67 Colworth Rd., Leytonstone, London N. E

Nr 11 Listopad 1901. Rok XXI.

PRZEDŚWIT

W roku bieżącym mija lat 25 od czasu, kiedy garstka socyalistycznej młodzieży polskiej rozpoczęła pracę nad uświadamianiem klasowem proletaryatu warszawskiego. Podając wiązankę wspomnień z różnych epok socyalizmu naszego, chcemy bodaj tym drobnym przyczynkiem do historyi ruchu robotniczego w Polsce uczcić 25-tą rocznicę jego powstania.

REDAKCYA

Wspomnienia z pobytu w Galicyi

(Zaczątki obecnego ruchu socyalistycznego)

Kiedy w lipcu 1870 r. rozpoczęła się wojna francusko-niemiecka, byłem w Warszawie. W mieście powstała wielka radość, przypominano sobie świetną kampanię 1807 r. i spodziewano się niebawem ujrzeć sztandary francuskie w Poznaniu. Rychło jednak zasępiły się czoła. Telegraf donosił o porażkach francuskich, o wkroczeniu niemców do Francyi, o nieustannem posuwaniu się ich naprzód. Z początku nie chciano temu wierzyć; przypuszczano, że w tem się ukrywa jakaś kombinacya strategiczna, i wciąż oczekiwano doszczętnego zniszczenia armii niemieckiej. Tymczasem pierwszych dni września przyszła wiadomość o strasznej klęsce pod Sedanem. W całem mieście zapanował smutek głęboki. Ze spuszczoną głową w milczeniu witano się i żegnano na ulicy, jakby poniesiono wielką własną narodową klęskę. Wiadomość o ogłoszeniu Rzeczypospolitej we Francyi na nowo ożywiła nadzieje. W licznem kole wróconych z Rosyi wygnańców wszyscy niemal byli tego przekonania, że republikańska Francya wkrótce wyrzuci najazd niemiecki z granic swojego kraju. Jeden tylko lekarz Adolf Kuncewicz, towarzysz mój z Pawłowska w gubernii woroneskiej, przez złość na francuzów, że zawiedli jego nadzieje, utrzymywał z większą zawziętością niż szczerością, że niemcy dalej bić ich będą i ostatecznie wejdą do Paryża.

Wkrótce po ogłoszeniu wojny zamierzyłem wyjechać za granicę, spodziewając się, że zwycięstwa francuskie sprowadzą ważne także skutki dla naszego narodu. Przypuszczaliśmy możliwość utworzenia legionu polskiego. Po ogłoszeniu Rzeczypospolitej we Francyi rozpocząłem starania o paszport zagraniczny i wkrótce go otrzymałem. Władze rosyjskie ówczesne chętnie wydawały paszporty zagraniczne byłym wygnańcom, jakby starając się o możliwie znaczne zmniejszenie ich liczby w samym kraju.

Wyjechałem do Krakowa. Widząc jednak, że nader tam trudno dostać jaką pracę zarobkową, którąby dawała środki do życia, a przytem zniechęcony stańczykowsko-klerykalną atmosferą miasta, udałem się do Lwowa, zwłaszcza że do kilku osób, tam przebywających, miałem listy polecające z Warszawy. Listy te nie odniosły skutku, lecz na moje szczęście spotkałem się przypadkowo na ulicy z Janem Mittigiem, którego poznałem w Archangielsku, gdzie się znajdował w rotach aresztanckich. Mittig, wzięty do niewoli, został wysłany na kilka

lat do rot aresztanckich, następnie zaś na Syberyę na osiedlenie, lecz na przedstawienie rządu austryackiego wraz z innymi galicyanami wrócił do kraju ojczystego. Kiedym go spotkał we Lwowie, był on administratorem „Dziennika Lwowskiego“, najbardziej postępowego podówczas organu demokratycznego w Galicyi. Dziennik ten, wydawany i inspirowany przez Franciszka Smolkę, wychodził pod redakcyą Tadeusza Romanowicza. Mittig, pozostający w przyjaznych stosunkach z zarządcą drukarni tego dziennika, Augustem Skerlem, wyrobił mnie w niej posadę korektora, a nadto w odcinku dziennika drukowano moje *Wspomnienia wygnańca.*

We Lwowie tak samo jak i w Warszawie, z żywem zainteresowaniem się i z całem współczuciem dla francuzów śledzono przebieg walki ich zbrojnej z niemcami, z tą jednak różnicą, że we Lwowie głośno manifestowano swoje uczucia. Szczególnym nimbem bowiem otaczano Gambettę i spodziewano się, że pójdzie on śladem wielkich konwencyonistów z 1793 roku i nada wojnie charakter rewolucyjny. Opowiadano, że sprzyjał on polakom, że sekretarzem jego był syn emigranta polskiego, Wieczfiński — jeżeli mię pamięć nie myli. Przez redakcyę naszego dziennika przesuwały się rozmaite osoby, noszące się z myślą związania sprawy naszej z bieżącymi wypadkami. Najczęstszym gościem bywał Bronisław Wołowski, który ułożył był nawet projekt utworzenia legionu polskiego, popierany w tem przyjaźnie przez Andrieux'go, podówczas prokuratora w Lyonie. Rząd jednak francuski lękał się poruszenia sprawy polskiej, zwłaszcza, że rachowano na interwencyę dyplomatyczną gabinetu petersburskiego, który usiłował skłonić ku temu wymową swoją Thiers, objeżdżający z błagalną misyą wszystkie stolice europejskie. Najbardziej rewolucyjny nawet z członków rządu — Gambetta — dał wymijającą odpowiedź, kiedy proponowano mu dopomódz do zorganizowania zbrojnego powstania w Poznańskiem, podówczas ogołoconem niemal z wojska, a natomiast mieszczącem w sobie znaczną liczbę żołnierzy francuskich wziętych do niewoli. Prezydent zaś rządu, jenerał Trochu, chciał był nawet rozstrzelać Jarosława Dąbrowskiego jako prowokatora pruskiego, rozgniewany nań za ostrą krytykę niedołęztwa, z jakiem zmarnował ogromne siły, znajdujące się w Paryżu.

Wyobrażam straszne oburzenie Kuncewicza, gdy się dowiedział, że przepowiednia jego ziściła się. Paryż poddał się prusakom w końcu stycznia 1871 r. Z bólem serca przyjęto we Lwowie tę wiadomość. Francya, na którą przyzwyczailiśmy się spoglądać jako na naszego naturalnego sprzymierzeńca, została złamana i pobita przez naszego odwiecznego wroga, krzyżactwo pruskie. I dla tego wiadomość o rewolucyi marcowej w Paryżu i o ustanowieniu Komuny wywołała niemal powszechną radość i wzbudziła nadzieję, że rachunki z prusakami nie zostały jeszcze ostatecznie skończone. Dzienniki lwowskie pisały o Komunie bez niechęci, a demokratyczny krakowski „Kraj“ drukował w odcinku piękne korespondencye z Paryża, z wielką życzliwością przedstawiające ruch komunalny. Zdaje się, że listy te były pióra Józefa Tokarzewicza.

„Dziennik Lwowski“ nie wychodził już w tym czasie, zakończył on swój żywot w końcu stycznia czy też na początku lutego 1871 r. — nie przypominam sobie dobrze. W ostatnich dwóch miesiącach robił on już bokami. Pensyi nam nie wypłacano, dawano tylko drobne na ich konto zaliczki. Oczekiwaliśmy jak zbawienia wyboru Smolki na burmistrza Lwowa. Smolka został wprawdzie wybrany, ale nieznaczną większością; nie przyjął więc wyboru, ponieważ spodziewał się, że mieszczaństwo lwowskie całe przyjmie go z otwartemi ramiony. Dziennik zamknął swą budę, pozostając mi winien dużą jak na moją kieszeń sumę, bo coś około 60 guldenów. Znalazłem się bez zarobku i bez pieniędzy. W tym to czasie przyszły do skutku moje dwa odczyty w „Gwieździe“ o kwestyi robotniczej, które zamierzyłem spieniężyć. Kilka słów o tem.

„Gwiazda“ lwowska była w swym czasie najważniejszą i najżywotniejszą organizacyą robotniczą w Galicyi. Tu się skupiała najinteligentniejsza i najruch-

liwsza część robotników, i tam też powstawały projekty nowych instytucyi robotniczych. Było to towarzystwo, mające na celu naukę i zabawę. Znajdowało się pod opieką, kuratelą demokracyi, której chodziło głównie o zyskanie pomocy klasy robotniczej w sprawach politycznych. Nasz były redaktor, Tadeusz Romanowicz, cieszył się wówczas największą popularnością wśród robotników.

Kurator „Gwiazdy", Mieczysław Darowski, dowiedziawszy się, że chcę mieć odczyt, zaprosił mię przez sekretarza do siebie w celu porozumienia się w tym przedmiocie. Poszedłem do niego zrana, ponieważ najłatwiej było go zastać o tej porze. Najdawniejszy ten spiskowiec był dobrym, poczciwym, wolnomyślnym szlachcicem polskim. Typy takie stawały się już coraz rzadsze. Lubił on robotników, życzył im dobrze, ale zawsze robotnik w jego oczach to nie był szlachcic. Zastałem go w szlafroku, z fajką na długim cybuchu osadzoną, wydającego rozporządzenia sekretarzowi „Gwiazdy", którego traktował dobrotliwie, lecz po szlachecku, nieco z góry. Na jego żądanie wytłómaczyłem mu główną treść mego odczytu, czyli raczej odczytów, ponieważ musiałem następnie podzielić mój odczyt na dwie połowy. Darowski słuchał uważnie, nieco podejrzliwie, robił pewne zastrzeżenia, w wielu miejscach potakiwał, wreszcie polecił sekretarzowi, ażeby wywiesił w sali ogłoszenie o mającym się odbyć odczycie.

— Uważa Pan — powiedział do mnie na odchodnem — prosiłem Pana o podanie treści dla tego, że się już raz zdarzyło, że przyjezdny emigrant pod pozorem odczytu namawiał robotników do wychodźtwa do Ameryki.

Odczyty moje nie wywarły wielkiego wrażenia. Prócz kilku osób, które żywo zainteresowały się ich treścią, większość okazała się dość obojętną. W liczbie tych, którym moje odczyty podobały się, był także Zbrożek, redaktor „Rękodzielnika". W rozmowach, które z nim miewałem, okazywał on skłonność ku poglądom socyalistycznym i zamieścił w swem piśmie — jako wstępny — artykuł, który napisałem z powodu zmowy czeladników krawieckich, doradzając im, by założyli stowarzyszenie wytwórcze. Stowarzyszenie takie istotnie powstało, lecz nie zdołało długo się utrzymać. Z powodu mego artykułu Zbrożek otrzymał ostrzeżenie od Alfreda Młockiego, który dawał pieniądze na wydawanie pisma robotniczego, chociaż Młocki, sam autor wcale dobrej książki, przedstawiającej walkę zasad od czasu wielkiej rewolucyi, należał do najbardziej radykalnych podówczas w Galicyi umysłów.

Jak już wzmiankowałem, chciałem spieniężyć moje odczyty, drukując je w jakiej gazecie. Poradzono mnie, ażebym udał się do pośrednictwa Skotnickiego, wychodźcy politycznego z Kongresówki, który podówczas był współpracownikiem „Gazety Narodowej" i w przyjaznych stosunkach z jej redaktorem, Janem Dobrzyńskim, pozostawał. Skotnickiego uprzedzono o mojej wizycie i o jej celu. Przyjął mię jednak chłodno i podejrzliwie wypytywał, skąd czerpałem wiadomości o Towarzystwie Międzynarodowem Pracowników. Ostatecznie wszakże przyrzekł doręczyć mój rękopis Dobrzańskiemu. Codziennie biegłem do kawiarni, chwytałem „Gazetę Narodową" i doznawałem zawodu: mego artykułu jak nie było, tak nie było. Raz, idąc ulicą, spotkałem Dobrzańskiego, którego nie znałem osobiście, lecz tylko z widzenia. Zatrzymał mię i, nie prezentując się, zaczął odrazu mówić o moim rękopisie, a szczególnie o Towarzystwie Międzynarodowem. Nie zgadzał się z mojem zdaniem, jakoby w tem towarzystwie wiedza i praca spotkały się i połączyły z sobą; uważał, że zanadto przeceniam znaczenie polityczne i społeczne tego stowarzyszenia. Zrobił mnie przytem kilka uwag literackich co do stylu, z których skorzystałem następnie. Wreszcie powiedział, że rękopis mój oddał Gillerowi, ponieważ powierzył mu całkowicie redakcyę odcinka. — Wstąp więc pan do redakcyi — dodał — i zapytaj Gillera, co zamierza zrobić z pańskim artykułem. — Nazajutrz więc zrana poszedłem do redakcyi „Gazety Narodowej". Gillera nie zastałem, lecz obecny tam Skotnicki zwrócił mnie ręko-

pis, oświadczając w imieniu Gillera, że stawianie kwestyi robotniczej, zwłaszcza w takiej formie, nie byłoby na czasie.

Ponieważ dostałem z domu trochę pieniędzy, postanowiłem więc drukować moje odczyty własnym nakładem. Druk 500 egzemplarzy kosztował 30 guldenów Byłem pewny, że sprzedając egzemplarz po 20 centów, zwrócę sobie rychło tę sumę a nawet coś jeszcze zarobię. Spotkał mię jednak zawód. Co najwięcej połowa kosztów się zwróciła i to drobnemi kwotami, w znacznych odstępach czasu wypłacanemi. Nakład jednak cały prędko się wyczerpał. Przyczyniłem się sam najwięcej do tego, rozdając egzemplarze na wszystkie strony. Kilkadziesiąt egzemplarzy powędrowało za kordon — do zaboru rosyjskiego.

Rozgłosu nie miała także moja broszura. Pomimo, że wszystkim redakcyom gazet i pism posłałem egzemplarze, wszystkie przemilczały o niej. Kraszewski w „Tygodniku", który podówczas wydawał w Dreznie, na podstawie mojej broszury napisał wstępny artykuł o ruchu spółdzielczym, ale o samej broszurze nic nie wspomniał. Radykalno-słowiańskie tylko jakieś pisemko, które zaczęło w tym czasie wychodzić we Lwowie, przedrukowało w swoich łamach całą moją broszurę, nie pytając mnie wcale o pozwolenie. Nie byłem z tego zadowolony, albowiem pisemko owo zalecało się także do braterstwa moskiewskiego.

Broszura moja jednak nie przeszła zupełnie niepostrzeżenie. Zwróciła ona na mnie uwagę i tam, gdzie tego sobie wcale nie życzyłem, i tych, z którymi w coraz ściślejszy wchodziłem następnie stosunek.

Pierwszym nabywcą mojej broszury był komisarz policyi, Sobolak, — jak sam żartując to mówił. Kupił aż dwa egzemplarze. Ponieważ paszport, wydany w Warszawie na półroku, już się był przedawnił, więc wezwano mnie do policyi i spisano protokół, szczególnie wypytując, czy nie byłem w ostatnich czasach w Paryżu. Z komisarzem Sobolakiem, który spisywał protokół, miałem już był dawniej utarczkę. Było to w parę tygodni po przyjeździe do Lwowa. Wróciwszy raz z miasta do mieszkania, znalazłem awizacyę z policyi, ażebym *we własnym interesie* przybył z dokumentami, świadczącemi o tożsamości osoby. Oczekując listu z pieniędzmi od matki, przypuszczałem, że może z powodu niedokładności adresu, poczta udała się do pośrednictwa policyi, i mnie z tego powodu wzywano, dodając, że to w moim własnym interesie. Zabrałem więc paszport i pobiegłem co prędzej na wezwanie. Dowiedziawszy się jednak, że chodziło tylko o meldunek, wpadłem w zły humor i zacząłem opryskliwie powstawać na turbacje policyjne w państwie konstytucyjnem. Sobolak mię uspokajał, zapewniając, że policya wcale nie miała względem mnie złych zamiarów, a termin: *we własnym interesie* zwykle jest używany. Nie spodziewałem się wówczas, że ten sam komisarz, którego pouczałem wtedy, jakiem powinno być państwo konstytucyjne, spisywać będzie ze mnie protokół jakby z przestępcy jakiego. Sobolak jednak, jak się przekonałem o tem, będąc później współpracownikiem „Gazety Narodowej" — nie należał do złośliwych, il n'était pas méchant — jak się wyrażają francuzi o tych przełożonych, co z pozoru są surowi, ale nie chcą szkodzić zależnym od siebie. Opowiadano nawet, że w młodych latach Sobolak sam brał udział w ruchu patryotycznym. Spisany protokół odesłano do namiestnictwa. Wkrótce zawiadomiono mię, że jeżeli nie przedstawię nowego paszportu do 1-go sierpnia, to będę musiał opuścić Galicyę. Nie miła to była rzecz. Paszporty wydawano na półroku, a kazano płacić za cały rok, przytem obawiałem się odmownej odpowiedzi. Skończyło się jednak wszystko dobrze: przysłano mnie nowy paszport. Zostałem więc w Galicyi, lecz z poczuciem, że trzeba się mieć na baczności.

W zaborze rosyjskim wśród młodzieży uniwersyteckiej, tęskniącej do wolności narodowej, zwrócono także na mnie uwagę. Odtąd ten i ów, przyjeżdżając do Lwowa, zgłaszał się do mnie. Ze zrozumiałych powodów nie mogę wymieniać wszystkich. Wspomnę tu tylko o czterech, których nazwiska ujawniły się w pro-

cesach i stały się w pewnej mierze historycznemi, o Kazimierzu Hildzie, Janie Hłasce, Edmundzie Brzezińskim i Michale Koturnickim.

Kazimierz Hildt, którego zwłoki spoczywają w Carouge pod Genewą, cieszył się wśród młodzieży warszawskiej wielkiem uznaniem i rwał się do czynnej postępowej pracy nad pomnożeniem sił narodowych. Podczas swego pierwszego pobytu we Lwowie, był on jeszcze ludowcem, zwolennikiem szerzenia oświaty, zwłaszcza politycznej, pomiędzy ludem i organizowania ekonomicznych stowarzyszeń spółdzielczych. Mniemał, iż należałoby nakreślić dokładny plan tej pracy i jąć się jej gorliwie, przy wzajemnem współdziałaniu wszystkich trzech zaborów. Pragnął więc, ażeby w Galicyi zawiązało się w tym celu koło chętnych ludzi, któreby pozostawało w porozumieniu z podobnem że kołem w Warszawie. Poznajomiłem go z niektórymi młodymi galicyanami, w tej liczbie z Bolesławem Czerwieńskim, późniejszym autorem „Czerwonego Sztandaru". Do utworzenia jednak koła nie przyszło. Ówczesna galicyjska młodzież postępowa nie miała wiary ani we własne siły, ani w możność skutecznego działania wśród ludu. Ci, co przybyli z zaboru rosyjskiego, pomimo że byli obcokrajowcami, że znajdowali się na łasce i niełasce policyjnej, okazywali mniej lękliwości od galicyan. Najbardziej sympatyczni, najbardziej szczerzy ludowcy, jak np. zmarły Kazimierz Okuz, ówczesny redaktor „Dzwonka", sam pochodzenia chłopskiego, obawiali się zerwać zupełnie z tradycyą szlachecką godzenia chaty z dworem i wejść śmiało na drogę otwartą obrony interesów ludowych, jak to uczynił później „Przyjaciel Ludu" pod redakcyą Bolesława Wysloucha. Było w tej młodzieży coś hamletowskiego, i Giller miał słuszność, nazywając Hamletem Bolesława Spaustę, jaskrawego wyobraziciela porywów naprzód i powątpiewania o wszystkiem.

I w Warszawie ludowcy nie zdołali przyjść do praktycznych rezultatów Kiedy więc powiew socyalistyczny dosiągł młodzieży warszawskiej, Hildt stał się jednym z najczynniejszych i najgorliwszych propagatorów naszego ruchu. Zmuszony uciekać z Kongresówki, został na granicy aresztowany przez policyę austryacką i wyrzucony do Szwajcaryi. Niewygody nadwerężyły zdrowie, ale najbardziej gryzły go moralnie przykre następstwa, spowodowane przez fikcyjne jego ożenienie się. Wszystko to przyśpieszyło szybki rozwój gruźlicy w płucach, i łagodny klimat okolic Clarens i Montreux nad jeziorem genewskiem nie zdołał przedłużyć jego żywota. Umarł w Clarens 23 sierpnia 1878 r. Ponieśliśmy wielką stratę w osobie tego młodego i dzielnego szermierza. Był on skończonym prawnikiem, ale zamierzał głównie poświęcić się badaniu warunków życia ludowego. Zaczął już był zbierać materyały do ułożenia dokładnej statystyki ludnościowej w prowincyach polskich ze szczegółowym podziałem podług zatrudnień, wysokości zarobków, posiadanej własności i t. d. Nad mogiłą jego w Carouge stanął pomnik z polskim napisem: Dzielnemu bojownikowi sprawy ludu polskiego.

Nad mogiłą Jana Hłaski także już dawno porosła trawa (Czerwieński upamiętnił śmierć jego pięknym wierszem). Ukończywszy gimnazyum w Kownie, Hłasko wyjechał na uniwersytet do Petersburga. Umysł jego czynny a serce kochające pociągnęły go do szeregów socyalistycznych, bo tam widział jedynie gorliwą pracę i prawdziwą gotowość do poświęcenia się dla dobra ogólnego. Był we Lwowie dwa razy: przed wyjazdem do Londynu i po powrocie. W Londynie poznał się z jenerałem Walerym Wróblewskim i wielką powziął cześć dla niego. Gdyśmy mówili o organizacyi, wyrażał to zdanie, że byłoby korzystnem dla rozwoju socyalistycznego w Polsce mieć zagranicą jen. Wróblewskiego jako swego przedstawiciela. Miał on także popierać w Petersburgu i w Warszawie myśl wydawania we Lwowie naukowego pisma socyalistycznego, któreby zaznajamiało publiczność polską ze zdobyczami myśli europejskiej w dziedzinie nauk społecznych i służyło dla młodych pracowników zachętą do badań samodzielnych. We Lwowie zakupił on sporo książek, zakazanych przez cenzurę rosyjską, i szczęśliwie udało mu się je przewieść za kordon graniczny.

Edmund Brzeziński, przenosząc się z Petersburga do Wiednia na studya lekarskie, odwiedził mnie we Lwowie — jak się sam wyraził — z polecenia organizacyi, do której należał. Proszono mnie, ażebym się zajął wydaniem przysłanego polskiego tłomaczenia „Programu Robotników“ — Lassalle'a, i Brzeziński wręczył mnie przesłany rękopis i pieniądze na wydanie. Niepoprawny język tłomaczenia, które robiono z języka rosyjskiego, i w wielu miejscach zwroty niejasne — zmusiły do całkowitego przerobienia przysłanego rękopisu podług oryginału niemieckiego. „Program Robotników“ miał wielkie powodzenie, były aż cztery jego wydania, dwa wprawdzie zostały zakupione przez stronnictwo socyalistyczne niemieckie. Sporo jednak egzemplarzy rozeszło się pomiędzy robotników we Lwowie, pomiędzy którymi było już kilku szczerze oddanych sprawie socyalistycznej, że wymienię Augusta Skerla, Józefa Daniluka, redaktora „Pracy“, i Antoniego Mańkowskiego, który był także redaktorem pisemka robotniczego „Czcionka“, organu zecerów.

Do ujawnienia i wzmocnienia wszczynającego się ruchu socyalistycznego w Galicyi, najwięcej się przyczynił Michał Koturnicki, wprawdzie nie bezpośrednio, lecz pośrednio. Wysłano go z Petersburga, ażeby nawiązał stosunki z socyalistami polskimi, rusińskimi i rosyjskimi zagranicą, ale przedewszystkiem ażeby urządził w Galicyi łatwy przewóz książek, zakazanych przez cenzurę rosyjską, przez kordon graniczny. Pierwszą misyę wykonał szczęśliwie: był w Genewie i w Zurychu, zawiązał tam stosunki i przywiózł z sobą stamtąd do Lwowa sporą liczbę książek rosyjskich i wydawnictw Dragomanowa. Wszystko to było przeznaczone do wytransportowania za kordon. Drugie zadanie, t. j. ułatwienie przewozu, okazało się o wiele trudniejsze. Lecz i tu dało się coś zrobić. Znaleźli się tacy, co za stosowną opłatą zobowiązali się przenosić książki i odstawiać je do wskazanego miejsca, ale żądali, ażeby im nie dawali wielkich, tylko małe paczki. Koturnicki miał więc dużo do roboty, a to tembardziej, że we Lwowie zakupił znaczną liczbę książek polskich. Zamknąwszy się w pokoju, rozdzielał książki, układał je w paczki i obszywał w płótno. Do nas przychodził często i otrzymywał korespondencyę pod moim adresem.

Posługacz hotelowy, podpatrzywszy czynność Koturnickiego, doniósł o tem policyi, a ta wpadła do hotelu, zmusiła Koturnickiego do otworzenia drzwi i zrobiła u niego rewizyę. Znalazłszy w jego papierach kilka kopert z moim adresem, wpadła także i do mojego mieszkania, zrobiła rewizyę, zabrała moją korespondencyę, papiery i sporo książek i broszur, które jej się wydawały podejrzanemi. Gdyby policya austryacka w Galicyi była rozumniejsza i dbała więcej o interesy swego państwa, aniżeli rządu rosyjskiego, toby postarała się była umorzyć całą tę sprawę. Bo o cóż właściwie chodziło? O przewóz książek do zaboru rosyjskiego. Przecież mogła łatwo spostrzedz, że prawie wszystkie książki były drukowane we Lwowie albo w Krakowie, a oprócz niewielkiej liczby broszur rusińskich, reszta książek była w języku rosyjskim, mało znanym w Galicyi. Mogła także przekonać się z pochwyconej korespondencyi, że chodziło o zabór rosyjski, a nie o Galicyę. Najlepszym wreszcie dowodem, że zabrane książki nie przedstawiały nic szkodliwego dla państwa austryackiego, była decyzya sądu lwowskiego, który kazał je zwrócić Koturnickiemu, oprócz kilku małych broszur rusińskich.

Lecz w policyi — jak się to pokazało później — wielu pobierało żołd od rządu austryackiego i od rządu rosyjskiego. Narobiła więc strasznego hałasu, chcąc okazać nie tyle przed rządem austryackim, ile przed rządem rosyjskim, jak wielką oddała mu usługę. Więziła ludzi na prawo i na lewo, na kogo tylko najmniejsze padło podejrzenie. Z Wiednia przywieziono Edmunda Brzezińskiego wraz z kilku jego kolegami, z którymi w bliższych pozostawał stosunkach. Do sprawy wplątano także rusinów, chociaż ani Koturnicki ani ja wcale nie znaliśmy się z nimi przed procesem. Policya była tak głupią, czy też udawała tylko taką, że, wyczytawszy w liście Hłaski, pisanym do mnie z Londynu, o jenerale Wró-

blewskim, aresztowała Bogu ducha winnego młodego literata z Kongresówki, mieszkającego w Zwierzyńcu pod Krakowem, Henryka Wróblewskiego, późniejszego promotora postawienia pomnika Mickiewicza w Warszawie. Wiem o tem od sędziego śledczego, który mię pytał, czy Henryk Wróblewski nie jest to ten sam Wróblewski, o którym pisał Hłasko. Wykazałem całą niedorzeczność tego przypuszczenia. Ażeby podburzyć przeciwko nam dziennikarstwo i opinię publiczną, policya rozpuszczała pogłoski, że byliśmy agentami rządu rosyjskiego i szerzyliśmy korzystną dla niego propagandę. I istotnie podziałało to na niektórych demokratów i podziałałoby jeszcze silniej i powszechniej, gdyby wielu z nich nie znało mnie osobiście. Sędzia śledczy, Kriegseisen, na którego co do mojej osoby nie mogę się uskarżać, prowadził śledztwo w sposób niezgodny z konstytucyą, ale pomimo szczegółowego i podstępnego badania, nie mógł się domacać żadnego spisku, bo też istotnie żadnego spisku nie było. Na czyniony zaś zarzut, żeśmy wyznawali zasady socyalistyczne i starali się je krzewić, odpowiadaliśmy, że konstytucya austryacka poręcza wolność przekonania, trudno, ażebyśmy je chowali tylko dla siebie. Polaków więc, oprócz Koturnickiego, uwolniono wszystkich od procesu. I Koturnickiego zasądzono na miesiąc więzienia właściwie za fałszywy meldunek. Rusinów musianoby także prawdopodobnie wszystkich uwolnić, gdyby wezwani na świadków przeciwnicy ich polityczni, także Rusini, nie postarali się byli ich oplątać swojemi podstępnemi zeznaniami. Trzech więc rusinów: Ostapa Terleckiego, Iwana Frankę i Michała Pawlika stawiono przed sądem. Pierwszego uwolniono, a Frankę i Pawlika skazano na kilka miesięcy więzienia, wyśróbowawszy do znaczenia tajnego stowarzyszenia politycznego zwykłe kółko akademickie, do którego należeli, miało tajny cel polityczny.

Proces ten, który się odbywał w pierwszej połowie stycznia 1878 r, miał ogromne znaczenie dla rozwoju ruchu socyalistycznego w Galicyi. Terlecki w pięknej, wzruszającej przemowie przedstawił, że sprawa socyalistyczna, jest to sprawa sprawiedliwości społecznej, jest to sprawa całego ludu, który chce wyjść z nędzy i niewoli. Koturnicki, podając rękę rusinom, zaznaczył, że waśnie narodowościowe ustają pomiędzy socyalistami, ponieważ są oni wrogami wszelkiego wyzysku i wszelkiej niewoli, a więc są także i wrogami wszelkiego ucisku narodowościowego. Policya w gorliwości swojej spełniła mimowolną ważną agitatorską czynność, na korzyść ruchu socyalistycznego: socyalistów, którzy przedtem nie znali się z sobą, zbliżyła; dopomogła do zadzierzgnięcia węzłów przyjaznych pomiędzy polskimi i rusińskimi socyalistami; wzmogła w prześladowanych gorliwość agitatorską, zwłaszcza, że jako napiętnowanych spychano ze zwykłej filisterskiej drogi ku zapewnieniu sobie społecznego stanowiska.

Wprawdzie, trzeba było jeszcze długiego czasu, ażeby ruch socyalistyczny w Galicyi wszedł na tę drogę normalnego rozwoju, na jakiej obecnie się znajduje, ale od procesu 1878 r. propaganda i agitacya socyalistyczna już nie ustawały. Młodzież uniwersytecka i inteligentniejsi robotnicy zainteresowali się sprawą socyalizmu. Od tego czasu zacny Antoni Mańkowski stał się gorliwym propagatorem i coraz większą liczbę robotników zjednywał dla socyalizmu. Wówczas to Feliks Daszyński — jak to sam powiedział w Zurychu na zjeździe Zjednoczenia młodzieży uczącej się zagranicą — skłonił się ku przekonaniom socyalistycznym.

Bolesław Limanowski.

Zabór pruski za panowania ustaw wyjątkowych

„Zabierajcie, chłopcy, manatki, jutro rano ruszamy w drogę“ — rzekł pewnego wieczora tow. N., wszedłszy do pokoju w którym M. i ja siedzieliśmy przy szklance herbatki zuryskiej, napełniającej pokój rozkosznym aromatem brzóz z Oberstrasu. Wiadomość ta ucieszyła nas obu, gdyż od kilku dni oczekiwaliśmy chwili odjazdu z niecierpliwością. On miał jechać do zaboru rosyjskiego, ja do Poznania. Po drodze zaś mieliśmy zabrać transport, w połowie przeznaczony dla Prus, w połowie dla Warszawy.

Jeślim się cieszył, to nie dlatego, aby perspektywa jazdy do Poznania napełniała mnie wyjątkowym jakimś entuzyazmem. Byłem tam już poprzednio dwa razy i nie mogłem jeszcze wtedy przyzwyczaić się do warunków działalności w zaborze pruskim. Zbyt mi silnie jeszcze tkwiły w pamięci stosunki warszawskie, te masy robotnicze, z któremi miało się tam do czynienia i które wprost imponująco wyglądały w porównaniu z garstką socyalistów poznańskich, szeroki zakrój całej roboty, nie liczenie się z brakiem ani pieniędzy, ani ludzi, spowodowane łatwością znalezienia i jednego i drugiego, wreszcie — egoistyczna bardzo pobudka — ciągłe obcowanie z „inteligencyą“, której w Poznaniu nie znalazłeś ani na nasienie w obozie naszym. Na uniewinnienie me dodam, iż byłem jeszcze bardzo młody — miałem nie wiele więcej nad 20 lat — i że widocznie miałem jakąś taką naturę, która nie odrazu entuzyazmowała się daną rzeczą.

Przyszły mój towarzysz podróży nie tylko wielkim entuzyastą nie był, ale miał nawet poprostu usposobienie zgryźliwe. Co prawda, jeżeli przeczucia istnieją, to miałby on powody nieradowania się zbytecznego, gdyż podróż jego miała się skończyć bardzo smutnie. Wkrótce po przejściu granicy został zaaresztowany, poszedł na wygnanie i tam umarł.

Ale, pomimo tego wszystkiego, cieszyliśmy się, gdyż zupełnie nam już zbrzydło wyczekiwanie chwili wyjazdu i konspirowanie się w takim Zurychu, gdzie obadwaj mieliśmy mnóstwo znajomych. A trzeba było siedzieć w domu i nie pokazywać się ludziom na oczy, ażeby później zbytnio nie zwrócić na siebie uwagi wyjazdem. Przytem, mieliśmy jechać z porządnym transportem, więc wiedzieliśmy, że przyjazd nasz bardzo mile przez wszystkich będzie witany, co musiało poprawiać nam humory.

Program podróży był taki, iż mieliśmy najprzód umówić się z przemytnikiem szwajcarskim, później, na gruncie niemieckim, odebrać od niego książki, podzielić je między siebie i wtedy dopiero rozjechać się. N. miał nam towarzyszyć w roli mentora aż do opuszczenia Szwajcaryi.

Gdy sobie przypomnę te czasy i porównam sposoby przewożenia druków, rozpowszechniania ich itp., z dzisiejszymi, to robią one na mnie wrażenie budowania mostu przez rzekę przy pomocy siekierki krzemiennej w zestawieniu z cudami dzisiejszej techniki. Ale bo też i czasy były zupełnie inne: w Niemczech panowały prawa wyjątkowe (było to przed r. 1890), i w Austryi, która pod tym względem jest wierną wasalką Niemiec, stosunki polityczne były okropne. Śledzono nas wszędzie, a wpadnięcie w ręce policyi było równoznaczne z perspektywą bardzo długiego więzienia, gdyż każdy emigrant z zaboru rosyjskiego był, po odsiedzeniu swej kary, bez najmniejszej ceremonii wydawany Rosyi. A obok tego brakowało nam kilkunastu lat doświadczenia, które dziś posiadamy.

Nazajutrz, o 5-ej z rana, ruszyliśmy koleją w kierunku jeziora Konstanckiego. W południe byliśmy na miejscu i zaraz poszliśmy do przemytnika, by się z nim umówić. Nie łatwe to było zadanie, gdyż nasz poczciwy „bajb“, jak nazywaliśmy szwajcarów, mówił tylko dyalektem zuryskim, który tak się ma mniej

więcej do języka niemieckiego, jak holenderski albo szwedzki. Ale ostatecznie doszliśmy z nim do ładu i, pamiętam to jeszcze dziś, we środę miało się odbyć przeszwarcowanie broszur na terytoryum niemieckie. Dla pewności umówiliśmy się, iż przyjdzie on nas zawiadomić, czy nie zaszła jaka przeszkoda.

Upłynęły dwa śmiertelnie nudne dni. Deszcz padał od rana do wieczora, siedzieliśmy zatem w naszym hoteliku i spaliśmy, a raczej spał N., który posiadał pod tym względem znakomity talent, a my dwaj graliśmy w warcaby. Przyszła nareszcie oczekiwana środa, a naszego szwajcara widać nie było. Upłynął i czwartek, zaczęliśmy już robić pesymistyczne przypuszczenia, aż w piątek przybiegł do nas chłopak z zawiadomieniem, iż mamy natychmiast siadać na parostatek i jechać do Lindau. Ładnie rozmówiliśmy się, cośmy brali za środę, było piątkiem!

W Lindau, na terytoryum niemieckiem zostały nam doręczone druki. Szwarcowanie odbywało się w następujący sposób (mogę śmiało o tem pisać, gdyż nasz szwarcownik został po upływie pewnego czasu wyśledzony i zaaresztowany. Kosztowało to nas oraz partyę niemiecką sporo, gdyż musieliśmy utrzymywać rodzinę tego biedaka podczas jego kilkumiesięcznego pobytu w więzieniu. A cośmy się nacierpieli od niemców, którzy bardzo niechętnie udzielali nam swoich „granic“ i winę katastrofy nie omieszkali nam przypisać!): broszury były ładowane na dno łodzi, która przewoziła co kilka dni kamienie budowlane ze Szwajcaryi do Lindau, poczem przewoźnicy wynosili je cichaczem na ląd. Tu po raz pierwszy przyjrzałem się olbrzymiej sile, do jakiej dochodzą tak nędznie na pozór wyglądający, ale znakomicie wygimnastykowani szwajcarzy: transport składał się z dużego kufra, naładowanego broszurami i dwóch ciężkich walizek, z których każdą ja z trudnością dźwigałem. Otóż jeden z przewoźników miał za zadanie odwrócenia uwagi stojącego nad brzegiem strażnika celnego, a drugi tymczasem, upatrzywszy stosowną chwilę, zarzucił kufer na plecy i, przytrzymując go rękami, z których każda miała po walizce, gimnastycznym krokiem pędził od brzegu do upatrzonego z góry hoteliku!

Wszystko odbyło się w porządku: poczciwy szwajcar nie tylko zaniósł rzeczy do hotelu, ale jeszcze odniósł je nazajutrz na dworzec, wyekspedyował kufer i walizki wstawił nam do przedziału, poczem ruszyliśmy w drogę.

W ten sposób odbywało się wówczas szwarcowanie. Każdy transport trzeba było przeprawić przez jedną granicę (niemiecką lub austryacką), samemu dowieźć do jakiego miasteczka nad kordonem, czekać tam, aż zostanie przewieziony przez granicę rosyjską i wieźć potem dalej, do miejsca przeznaczenia. Było to coś w rodzaju ciężkiego galionu hiszpańskiego ze srebrem, płynącego przez 6—8 miesięcy z Meksyku do Hiszpanii i cały czas wystawionego na tysiące niebezpieczeństw.

Po parodniowej podróży, odbywającej się czwartą klasą dla oszczędności, stanąłem nareszcie w Poznaniu. Mój towarzysz dawno rozstał się ze mną w drodze. Przed oczyma stanął mi znajomy duży gmach z czerwonej cegły, a wyraźna wielkopolska wymowa mile zaczęła obijać się o uszy.

Tu była jeszcze jedna — ostatnia — trudność. Poznań, jak wiele innych miast monarchii pruskiej, ma cło miejskie. Wskutek tego pakunki podróżnych podlegają rewizyi. Zwykle jest ona dość powierzchowna i, jeżeli ktoś jest dostatnio ubrany i jedzie dorożką, to celnicy nie zatrzymują go nawet. Ale gdzież można było jechać dorożką do ubogich dzielnic robotniczych, w których przemieszkiwali nasi towarzysze! Robiło się tak, iż się zostawiało rzeczy na dworcu, szło per pedes wyszukiwać ludzi, a później dopiero sprowadzało się drogocenne pakunki.

Zewnętrzny wygląd Poznania sprawia na obcego ponure wrażenie. Przedewszystkiem jest to forteca i to jedna z potężniejszych w państwie pruskiem. Przypominające więzienia mury forteczne, przez które wjeżdża się do miasta,

mnóstwo żołdactwa, włóczącego się na każdym kroku, brutalne i wyzywające miny oficerów, rynek z odwachem i ze wspomnieniami powstańców, których bito tu kijami, wały, okalające miasto i żołnierze z nabitymi karabinami, na których się człowiek pomimowoli ciągle natyka, — wszystko to razem sprawia wrażenie, jakoby się było w łapach jakiegoś potwora albo pod obuchem, który każdej chwili może spaść i rozmiażdżyć wszelki opór. Swoją drogą, bardzo być może, że na to wrażenie składała się słabość nasza, brak ludzi i środków materyalnych.

Przytem Poznań, przynajmniej Poznań polski, jest w gruncie rzeczy małem miasteczkiem, ludzie znają się tam i każdy przybysz rzuca się odrazu w oczy, a przy nienawiści, którą mają tam do socyalisty partye burżuazyjne, bardzo łatwo być zadenuncyowanym i wpaść w ręce policyi. Odczułem to nieraz na swej własnej skórze, ale najbardziej może w następującym wypadku: przywiozłem raz do Poznania odezwę, która miała być rozrzucona dopiero po moim wyjeździe. Tymczasem nie wiedziałem o odpuście, który przypadał na dzień następny i z powodu którego nie podobna było zwlekać z rozpowszechnianiem odezwy. Staraliśmy się bowiem zawsze korzystać z podobnych okazyi: rzucano wtedy odezwy na drogach, wiodących do kościoła, wtykano je chłopom do woza itp. Zwykle emisaryusz, który przywoził odezwę, wyjeżdżał przed jej rozpowszechnieniem, ale tym razem musiałem zostać. Nie mając co robić w ciągu dnia, kiedy wszyscy robotnicy są zajęci, poszedłem przez Chwaliszewo i Śródkę (przedmieścia, zamieszkałe przeważnie przez polaków) za miasto, położyłem się w lesie i przeleżałem do wieczora, poczem dopiero wróciłem. W nocy zaś rozlepiono i rozrzucono odezwę. I oto nazajutrz pojawia się w „Orędowniku“ wzmianka o rozrzuconej przez socyalistów odezwie i o tem, iż na Śródce zauważono pewnego obcego młodego człowieka, tak i tak wyglądającego, który „kręcił się“ tam.

To przeświadczenie, iż się jest otoczonym ludźmi, wrogo się odnoszącymi, tak było silne, że dotąd, gdy widzę poznańczyka-inteligenta, wydaje mi się, iż ten człowiek może każdej chwili wstać i zadenuncyować mnie.

Ponieważ znałem już miasto, więc odszukanie starych znajomych nie zabrało mi dużo czasu. Radość z powodu mego przybycia, a głównie z powodu przywiezienia książek, była niezmierna. Zaraz też, by nie sprowadzać do mego mieszkania wszystkich towarzyszy, zaciągnięto mnie do szynku, gdzieśmy przesiedzieli do późnej nocy.

Nazajutrz powstała kwestya ulokowania mnie. Dokumentów nie miałem żadnych, więc przy ówczesnych warunkach mowy być o tem nie mogło, żebym zamieszkał w hotelu. Umieszczono mnie zatem u pewnego introligatora, żonatego, który miał dwa pokoje. U niego też stołowałem się. Dzień upływał mi w ten sposób, iż siedziałem przy szubieniczce, służącej do oprawiania książek, i pracowałem. Nabyłem nawet w ten sposób pewnej wprawy w introligatorce, a co ważniejsze, nie zwracałem niczyjej uwagi, gdyż brano mnie za młodego czeladnika. Wreszcie nie potrzebowałem wcale wychodzić i pokazywać się ludziom. Wieczorem dopiero opuszczałem me mieszkanie i szedłem na „widzenia“, umówione zawczasu i tam dopiero rozpoczynała się gawęda. Ja opowiadałem swym słuchaczom o Francyi i Szwajcaryi, o swobodzie, która tam panowała, cechach charakterystycznych ruchu robotniczego, organizacyi zawodowej i politycznej itp.; oni odpłacali mi się za to długimi opisami stosunków warsztatowych, nadużyć majsterskich, obcinania płacy i drożyzny, która, w stosunku do zarobku, jest w Poznaniu rzeczywiście niesłychana. Ale głównym tematem rozmowy były zwykle stosunki polityczne: ucisk i germanizacya.

Były to czasy największej naszej międzynarodowości. I rzeczywiście nonsensem byłoby wtedy prowadzić propagandę patryotyczną, która przy słabości socyalizmu, mogła wyjść tylko na korzyść patryotyzmu oficyalnego, t. j. klerykalnej i bezgranicznie reakcyjnej bandy, trudniącej się systematycznem zabagnianiem sprawy polskiej za pomocą „Orędownika“, „Gońca Wielkopolskiego“ i „Wiel-

kopolanina“ — trzech pism, odpowiadających tyluż odcieniom ówczesnej polityki „ludowej“. Ale, swoją drogą, zamykanie oczu na kwestyę ucisku narodowościowego było w Poznańskiem niemożliwe, gdyż ta sprawa zbyt ludzi dotykała. To też pod względem sposobu wyrażania się byliśmy tam daleko bardziej „narodowi“, niż np. w zaborze rosyjskim. Tylko że, agitując przeciwko germanizacyi, występowało się jednocześnie przeciw szlachcie, wskazywało się na ucisk, który ona sama praktykowała i na całą obłudę jej rzekomej walki z rządem pruskim.

Klasycznym i jednym z bardziej udatnych przykładów podobnej polityki była odezwa, która ogromnie dużo hałasu narobiła w całem Poznańskiem, zatytułowana: „Do polskiego ludu pracującego“ — i wydana w 1885 r. Odezwa ta była skierowana przeciwko wydaleniu 40.000 polaków z zaboru pruskiego. Zrobiła ona ogromne wrażenie na wszystkich. Przedewszystkiem wiadomo, jak małym i niewyraźnym był protest delegacyi polskiej przeciwko czynowi, któremu równego w całem XIX stuleciu znaleźćby nie można, to też śmiałe i energiczne wypowiedzenie się socyalistów, później zaś systematyczne kolportowanie odezwy ogromnie imponowało społeczeństwu, które odwykło było zupełnie od widoku ludzi, mających odwagę poświęcić coś dla idei. Następnie, treść odezwy była bardzo udatna: po śmiałem napiętnowaniu haniebnego czynu Bismarka następował zwrot o szlachcie polskiej, przypomnienie jej zachowania się w tej sprawie i zwrócenie uwagi na to, że wyzysk, praktykowany przez wielkich właścicieli ziemskich, zmusza przynajmniej tyluż ludzi do emigracyi z ziem polskich, ilu ich zostało wydalonych przez rząd pruski. Można powiedzieć, iż ta odezwa dała podstawę do popularności socyalizmu w Poznańskiem. Autorem jej, jak i wszystkich innych odezw i artykułów, przeznaczonych specyalnie dla zaboru pruskiego z owego czasu, był Stanisław Mendelson.

Dość dużo hałasu narobił też w swoim czasie „list otwarty księdza Poczciwińskiego“. Fikcyjny ów ksiądz opowiadał wiernym, iż służył dawniej panom i rządowi, ale się przekonał, jak wielka krzywda ludowi się dzieje, staje zatem teraz po jego stronie i wzywa wszystkich, by to samo uczynili. „Orędownik“, który był naszym najzaciętszym przeciwnikiem i pilnie śledził wszystkie nasze wydawnictwa, napisał o tym Poczciwińskim, iż to „prawdopodobnie“ nie jest żaden ksiądz, a „może nawet zwyczajny oszust“.

Przejdę do żywiołów, na których opierała się nasza robota. Przedewszystkiem byli to robotnicy, pracujący w fabrykach tytoniu, t. zw. cygarnicy. W całem państwie niemieckiem cygarnicy są socyalistyczni, — jeżeli nie z przekonania, to z uczucia, i Poznań nie stanowi pod tym względem wyjątku. Przyczyna leży głównie w ciągłem obcinaniu płacy robotników, którzy systematycznie i od dłuższego czasu zastępowani są w coraz większych rozmiarach przez kobiety. Konkurencya tych ostatnich już za moich czasów obniżyła płacę mężczyzn, a proces ten trwa bez ustanku. Dochodziło do tego, iż cygarnik, by módz wyżyć, musiał kraść tytoń i pracować w domu po nocach, a później cichaczem odnosić gotowe cygara do fabryki. Nocowałem raz u cygarnika, który przynajmniej trzy razy na tydzień (a często i sześć razy) spędzał noc w ten sposób, iż zaraz po kolacyi siadał do roboty, o 10-ej szedł spać, a o 2-ej w nocy budził się i pracował do śniadania, albo też pracował do 2-ej, a od 2-ej do 6-ej spał. Żona jego, również robotnica, przynosiła mu t. zw. „wikle“, t. j. skręcone ośrodki cygar.

Zacięci byli to ludzie, ci cygarnicy. Na pozór spokojni, drobni po większej części i wynędzniali od złego życia i ciągłego oddychania pyłem tytoniowym, z wielką radością rzucali się do bójki, a w razie potrzeby nie cofali się i przed pchnięciem nożem. Nie jeden trup umundurowanego „cywilizatora“, znaleziony na wałach, świadczył o tem, jak niebezpiecznie było nadeptywać cygarnikom na nogi, do czego, jak wiadomo, żołnierze niemieccy bardzo są skorzy. Do rozlepiania odezw po nocy, wtykania ich chłopom do kieszeni podczas jarmarku itp.

czynności nadawali się oni bardzo. Niestety, nie wielu z pomiędzy nich miało jakie takie wykształcenie, a ciężkie warunki bytu nie czyniły ich zdolnymi do systematycznej pracy organizacyjnej.

Oprócz cygarników mieliśmy towarzyszy wśród introligatorów, szewców, zecerów, wogóle po rzemiosłach. Nieliczne fabryki, które istnieją w Poznaniu, mało nam dawały robotników, gdyż istniał tam rozgałęziony system szpiegostwa i straszny teroryzm władz. Zaś „inteligencya“ nie dawała nam nic. Na palcach jednej ręki mógłbym policzyć wszystkich studentów-poznańczyków, którzy sympatyzowali z socyalizmem, a i z pomiędzy tych *ani jeden* dotąd po wyjściu z uniwersytetu nie wziął się do roboty. Mendelson liczył bardzo na drobnomieszczaństwo — majsterków, sklepikarzy itp.; niestety, i te nadzieje zawiodły, aczkolwiek w tej sferze mieliśmy trochę pomocy, że wspomnę tu Wiśniewskiego, majstra szewckiego, który później, zrujnowany do szczętu, wyemigrował do Ameryki, Hellwiga, pisarza prowentowego, dzielnego agitatora chłopskiego (zmarł na suchoty, zmarłego niedawno majstra Andrzejewskiego, który stał się jednym z filarów stronnictwa „ludowego“, i innych.

Nie ograniczaliśmy się wyłącznie na Poznaniu, owszem, jeździliśmy na prowincyę. W Gnieźnie, Inowrocławiu, Ostrowie, Wrocławiu mieliśmy zawsze małe kółka. W Rawiczu, mieście bardzo zgermanizowanem, ludność robotnicza była oddawna zdobyta, ale taka jakaś apatyczna, iż gdy im raz na wybory nie dostarczyliśmy kartek, to żaden z nich nie głosował, podczas gdy poprzednio zebrano tam kilkaset głosów.

Propagandę prowadzono zwykle w kółku znajomych bliższych, posiłkując się przy tem książeczkami. Zaś w niedzielę udawano się na przedmieścia, zawiązywano tam znajomości po knajpach, poczem rozdawano „Przedświt“ i broszury. Kółka wykładowe tworzyły się bardzo rzadko i zwykle tylko wtedy, gdy był w Poznaniu jaki emisaryusz, przysłany z emigracyi. Niestety, trwało to bardzo krótko zwykle, dla zrozumiałych powodów.

Potrąciłem o emisaryuszy. Wysyłanie ich było jednym z najskuteczniejszych sposobów budzenia ruchu w zaborze pruskim i z zupełną pewnością można powiedzieć, iż gdyby nie mrówcza, bezustanna przygotowawcza działalność tych ludzi, to nie byłoby możliwem nawet to względne powodzenie, jakiem się cieszył późniejszy ruch legalny, rozpoczęty po zniesieniu praw wyjątkowych. Ludzi tych możemy podzielić na dwie kategorye: jedni przyjeżdżali na krótko — kilka do kilkunastu dni, zwykle z transportem. Ci nie mogli wywrzeć poważnego wpływu i pozostawić śladów po sobie. Ale rzeczywiście skuteczną była działalność tych pełnych poświęcenia jednostek, które udawały się do Poznania na stałe, t. j. aż do zaaresztowania. Wyliczę ich tu pokrótce, o ile mi pamięć pozwoli.

Pierwszymi siewcami socyalizmu byli Stanisław Mendelson, Marya Jankowska, Hieronim Truszkowski i Konstanty Janiszewski (jedyny poznańczyk, reszta królewiacy), którzy udali się razem do Poznania w r. 1881. Przedtem były tylko nieliczne próby socyalistów niemieckich, które oczywiście pozostały bez wyników (np. w 1878 r. Vollmar urządził zgromadzenie przedwyborcze w Poznaniu i zdobył bodaj 32 głosy na Bebla). Wyżej wymienionych można uważać za pionerów naszej myśli w zaborze pruskim. Założyli oni cały szereg tajnych kółek wykładowych, stworzyli organizacyę i rozpowszechnili znaczną ilość wydawnictw, poczem wszyscy dostali się do więzienia. Po odsiedzeniu kary (2—3 lat) Truszkowski został wydany Rosyi, Mendelsonowi udało się zbiedz za granicę, jednej tylko Jankowskiej, dzięki chorobie, której się nabawiła, dozwolono wyjechać do Francyi.

Drugim z rzędu był Stanisław Padlewski, który pojechał w r. 1883. I ten został ukarany kilkoletniem więzieniem, a później oddany Rosyi. W 1887 roku ruszył Sławiński przed wyborami. Zrobił on bardzo dużo, zdołał nawet zorganizować zebranie publiczne, poczem też padł ofiarą. Wydany Rosyi, został tam

skazany na śmierć, potem ułaskawiony, następnie znowu na śmierć skazany, wreszcie wysłany na kilkanaście lat do ciężkich robót. Ostatnim w tym szeregu był Anielewski, złoty człowiek, który cieszył się wielką popularnością w Poznaniu. Wydany Rosyi przed samem zniesieniem praw wyjątkowych, zginął później na Syberyi. Od upadku Bismarka skończyło się barbarzyńskie wydawanie Rosyi, nie brakło za to wydalań.

Cała ta praca, jak powiedzieliśmy, nie pozostała bez rezultatów. Nie mówiąc już o niewidzialnem dla oka przesiąkaniu socyalizmu do różnych warstw ludności, które przejawiło się dopiero później tak, iż „Gazeta Robotnicza" już w pierwszym roku swego istnienia miała prawie taką samą ilość abonentów, jak na wiosnę roku bieżącego, podczas cofnięcia subsydyum partyi niemieckiej, — ale i cyfrowo można stwierdzić wzrost ruchu. Jeśli weźmiemy tylko miasto Poznań, to znajdziemy tam następujące ilości głosów, oddanych na kandydata socyalistycznego: 1878 — 32 głosy, 1881 — 62, 1884 — 103, 1887 — 226, 1890 — 415, 1893 — 1102. Odtąd liczba ta spada i dziś jest mniejsza, niż przed 8 laty. Miejmy nadzieję, iż dziś po wznowieniu agitacyi w ziemiach polskich, która, niestety, od 1895 r. była zaniedbana, stosunki znowu się poprawią.

Znaczną przeszkodę przy agitacyi stanowiło, wynikające oczywiście z nędzy, pijaństwo, rozpowszechnione wśród robotników poznańskich. Wódka była jeszcze wtenczas bardzo tania (później akcyza została podniesiona i wódka zdrożała). To też stanowiła ona jedyną rozkosz proletaryatu. W niedzielę, gdy się towarzysze zeszli w knajpie (właściwie szynku), rozpoczynała się gawęda i „stawianie". Uboższy kupował za trójkę (10 fenigów) wódki — miało się tego około 10 kieliszków — zamożniejszy kolejkę kufli piwa. Po kilku godzinach takiego szlachetnego współzawodnictwa, można sobie wystawić, w jakim stanie były głowy. Zaraz zaznaczę jednak, iż wszyscy lepsi agitatorowie nie byli pijakami. Dla zapobieżenia w części nadmiernemu zakrapianiu się, propagowaliśmy gorliwie „sobkostwo", t. j. płacenie tylko za siebie, nie za innych. Najgorszy był jednak zły przykład, dawany przez zbyt hojnych fundatorów.

Drugą plagą były kobiety. Brak tradycyi powstańczych i ruchu umysłowego wytworzył w Poznańskiem typ kobiety bigotki, ciemnej, oddanej wyłącznie zajęciom domowym, plotkom i strojeniu się (w młodości). Wszelka działalność, wynikająca z pobudek idealnych, była dla nich zupełnie niezrozumiała i bezcelowa, a polityka, szczególniej zaś socyalizm — równoznaczna z jakąś bestyą apokaliptyczną. Stąd ciągłe konflikty między żonami i mężami, oraz, co gorsze, skarżenie się na męża, który „może sprowadzić nieszczęście do domu", przed księdzem na spowiedzi i przed kumoszkami. Niejedna z tych nieszczęśliwych zadenuncyowała męża bezwiednie i sprowadziła na rodzinę rzeczywiście okropne nieszczęście — aresztowanie męża, więzienie i nędzę bezgraniczną.

Tu miejsce powiedzieć parę słów o policyi pruskiej. Jest ona niezmiernie liczna (najliczniejsza, w stosunku do ogólnej liczby ludności, ze wszystkich państw Europy), wskutek czego może bardziej, niż gdziekolwiek, wtrącać swój nos do wewnętrznego, nawet do rodzinnego życia ludności. Dziś działalność jej polega przedewszystkiem na wyzyskiwaniu wszelkich paragrafów prawnych, przy pomocy których możnaby krępować, a przynajmniej szykanować ruch robotniczy. Wtenczas o działalności, zgodnej z prawem, mowy wcale nie było, gdyż prawa wyjątkowe, a szczególniej ich wykonywanie w prowincyach polskich, wprost uniemożebniały legalną propagandę socyalizmu. Wszystko robiło się potajemnie, a walka, którą prowadziła z nami policya, polegała na wykrywaniu tej roboty. Otóż trzeba przyznać, że postępowała ona zwykle w najwyższym stopniu nieudolnie i jeżeli miała jakie powodzenie, to dzięki najprzód swej sile — ogromnej ilości ludzi, których używała, a powtóre — i przedewszystkiem — dzięki odwyknięciu społeczeństwa polskiego w zaborze pruskim od wszelkich robót potajem-

nych. Jak niezgrabnie brali się do rzeczy pruscy komisarze, pokazują chociażby szczegóły zaaresztowania Sławińskiego i Anielewskiego.

W obu wypadkach policya miała na swych usługach zdrajców, którzy wydali jej naszych towarzyszy. Znała zatem ich wygląd i jeżeli nawet nie wiedziała o miejscu zamieszkania (co jest bardzo nieprawdopodobne), to w każdym razie łatwo mogła ich wyśledzić w tak małej mieścinie, jak Poznań. Tymczasem użyto następujących iście niedźwiedzich sposobów: Sławiński przychodził w dzień do owego zdrajcy — kupca Brojerskiego. Otóż pewnego dnia, gdy jak zwykle zaszedł, zdrajca mówi mu, iż chce przynieść wódki, bierze jeszcze od niego na ten cel 10 fenigów i wychodzi. W tej chwili wchodzi do pokoju komisarz policyi z ajentami i aresztują naszego towarzysza! Tak samo było z Anielewskim: zdrajca, cygarnik Morawski (którego broń Boże nie należy utożsamiać z Morawskim, długoletnim redaktorem „Gazety Robotniczej“) zaproponował A. udanie się na wildę w celu agitowania. A. zgodził się, poczem obadwaj obładowali się „Przedświtem“ i poszli. Za nimi jedzie w pewnej odległości dorożka, która dopędza ich na bezludnej uliczce, wysiada z niej komisarz z paru ajentami i aresztują obu. W dodatku, po dokonanej rewizyi M. zostaje wypuszczony, a A. zatrzymany! Tenże M., który rano był bez grosza i pożyczył od kolegi 10 fenigów na wódkę, wieczorem pokazywał w szynku z tryumfem 33 marki. Nawiasem mówiąc, te 33 srebrniki posłużyły mu, jak Judaszowi, gdyż koledzy, dowiedziawszy się o zdradzie, zbili go tak, iż ledwo żywy schronił się na policyę i w nocy musiał uciekać z Poznania, poczem tułał się bez zajęcia.

W obu zatem wypadkach policya tak nieudolnie wzięła się do rzeczy, iż sama wydała zdrajców.

W Berlinie policya była sprytniejsza (znana jest działalność prowokatora Naporry, za którą kilkunastu towarzyszy odpokutowało więzieniem), ale do żandarmeryi rosyjskiej ani umywać się nie mogła. W Poznaniu było jej w dodatku stosunkowo niezbyt wiele, przynajmniej w pierwszych latach praw wyjątkowych. Np. stróżów nocnych było tylko ośmiu, tak iż rozlepiający odezwy towarzysze wprost teroryzowali ich. Wogóle zatem, gdyby nie brak odporności samego społeczeństwa, działalność rewolucyjna, nawet tajna, nie byłaby wcale trudna.

Śląskiem zajmowaliśmy się bardzo mało. Było parę prób wysłania ludzi i wydawnictw z Wrocławia, ale bez najmniejszego rezultatu. Nie wynikało to z zaniedbania tej placówki, ale z ogólnego planu działalności. Byliśmy tego zdania, iż daleko większe rezultaty możemy osiągnąć w Poznaniu, gdzie ludność jest bądź co bądź bardziej wyrobiona politycznie, niż wśród górnoślązaków, którzy wtenczas jeszcze pogrążeni byli w zupełną apatyę. Prawdopodobnie też, przy ówczesnych stosunkach policyjnych i słabości naszych sił, nie wielebyśmy wskórali na Śląsku, gdzie nie mogliśmy liczyć nawet na ten nieliczny zastęp półinteligentów — rzemieślników itp., — którzy pomagali nam w Poznaniu. O ruchu zawodowym mowy być wtenczas nie mogło.

Wszystkiego, co tutaj opisuję, nie uświadamiałem sobie oczywiście podczas wzmiankowanego wyżej krótkiego pobytu w Poznaniu, ale doszliśmy do tego zbiorową pracą, w ciągu długich lat. Co zaś do mej przejażdżki, to zakończyła się ona szczęśliwie. Po oddaniu poznańczykom części wydawnictw i rozwiezieniu reszty po prowincyi siadłem na powrót do swego czwartaka i szczęśliwie dowlokłem się do Szwajcaryi.

Aleks.

NIEDOSZŁE PLANY

W lipcu r. 1884-go został aresztowany w Warszawie Ludwik Janowicz, przyjaciel mój z lat dziecinnych, z którym kolegowaliśmy na ławach szkolnych w Szawlach i w Wilnie. Zajście w mleczarni Hennenberga, towarzyszące aresztowaniu Janowicza, jest powszechnie znane, nie będę więc tu o niem opowiadał. O aresztowaniu Ludwika dowiedziałem się w Moskwie. Wówczas to powstał w mej głowie plan dopomożenia do ucieczki Ludwikowi i jego towarzyszom z „Prolataryatu“ wziętym już wcześniej. Postanowiłem tedy pojechać do Warszawy, ale, ponieważ dobrze znałem stosunki familijne Ludwika i stan majątkowy jego rodziny, przeto udałem się przedewszystkiem do majątku Janowiczów — Łapkasiów pod Kurszanami, w Szawelskiem. Brat Ludwika — Kazimierz — był również moim kolegą ze szkolnej ławy. Wydalony z instytutu agronomicznego w Puławach, osiadł na gospodarstwie. Do niego to się więc udałem, chcąc zasięgnąć wiadomości, czy możnaby liczyć na pomoc pieniężną ze strony rodziny na wypadek ucieczki Ludwika. Wiedziałem również, że matka Ludwika była niewiastą bardzo postępową i radykalną, jak na ówczesne stosunki litewskie, wiedziałem, że dwie siostry Ludwika były jeszcze bardzo młode, więc nie wątpiłem, że nie napotkam w rodzinie Ludwika oporu, skoro dowie się, że tu chodzi o losy jego i jego towarzyszy.

Tak się też stało. Mój pobyt w Łapkasiach trwał zaledwie dwie noce i jeden dzień. Omówiłem sprawę finansową z Kazimierzem Janowiczem i otrzymałem od niego obietnicę dostarczenia w razie potrzeby dość znacznej sumy pieniężnej, ale z warunkiem zawiadomienia go na dwa miesiące przed terminem, kiedy pieniądze mają być podjęte. Pożegnałem więc rodzinę Ludwika i — tak samo na piechotę, jak przyszedłem do Łapkasiów, tak też się z nich i wydaliłem. Nadmienić należy, że byłem podówczas nielegalnym.

Do Warszawy przybyłem z listami, polecającymi mnie „Proletaryatowi“, otrzymanymi w Moskwie. Zjawiłem się u Maryi Bohuszewiczówny i Razumiejczyka, którzy przyjęli mnie bardzo serdecznie. Zakomunikowałem im, kim jestem i oświadczyłem, że przyjeżdżam w bardzo ważnej sprawie, a ponieważ nie wiem, czy mogą polegać na listach, które przywiozłem z Moskwy, przeto zaproponowałem, aby zasięgnęli o mnie informacyi w cytadeli. Domyślałem się, że stosunki z uwięzionymi towarzyszami istniały, więc dowiedzenie się o mnie czegoś określonego od Ludwika nie było zbyt trudnem.

Zanim udałem się do Bohuszewiczówny i Razumiejczyka, odwiedziłem brata Ludwika — Antoniego, który mieszkał w Warszawie jako dymisyonowany oficer huzarów. Antoni Janowicz w bardzo młodym wieku wstąpił do szkoły kawaleryi w Elizawetgradzie, tam się kształcił, następnie wstąpił do huzarów i, zostawszy oficerem, przeniósł się do Warszawy, gdzie prowadził życie dość lekkomyślnie, spędzając czas na grze w karty i hulankach w towarzystwie wojskowem *). Dowiedziawszy się od Antoniego, że miał pozwolenie widywać się raz na miesiąc z bratem w X pawilonie, począłem bywać u Antoniego dość często. Antoni Janowicz dostarczał uwięzionemu bratu książek. Skorzystałem z tego, ażeby skomunikować się — oczywiście bez wiedzy Antoniego — z Ludwikiem. Napisałem więc do Ludwika list (w książce), cyfrowany za pomocą naszego dawnego klucza. Zakomunikowałem mu, że przyjechałem w bardzo ważnym interesie do Warszawy — z listem do Bohuszewiczówny i Razumiejczyka. Prosiłem go, ażeby polecił im mnie wprost jeśli ma sposobność, lub też, ażeby odpisał im za pomocą

*) Zastrzelił się później.

klucza, jaki oni znają, w jednej z książek, którą po przeczytaniu ma zwrócić bratu.

Przy widzeniu się z Bohuszewiczówną i Razumiejczykiem prosiłem ich zakomunikować Ludwikowi, że ma uważnie przeglądać książki, dostarczone mu po tej a tej dacie. Nie miałem zbyt wielkiego zaufania do listów, które przywiozłem z Moskwy, to też pragnąłem dowiedzieć się czegoś pewnego o towarzyszach warszawskich od osobiście mi znanych więźniów: Ludwika lub „Grzegorza“ (Kunickiego)

Wkrótce istotnie otrzymałem przez Antoniego — wciąż bez jego wiedzy — odpowiedź od Ludwika, podpisaną również przez „Grzegorza“ i Waryńskiego, że we wszystkiem mogę polegać na Bohuszewiczównie i Razumiejczyku i że jednocześnie zawiadamiają ich o mnie jako o osobistości, zasługującej na zaufanie.

Po otrzymaniu tego listu znowu poszedłem do Bohuszewiczówny i Razumiejczyka i wyjawiłem im cel swego przyjazdu do Warszawy. Oświadczyłem im, że pieniądze będą w dostatecznej ilości, i spytałem, czy mogą mi wskazać jakieś sposoby ucieczki. Zakomunikowano mi, że wykonanie ucieczki z cytadeli jest niepodobieństwem, ale że możnaby pokusić się o urządzenie jej w Moskwie — w t. zw. Butyrkach, po drodze na Sybir. Jako znający stosunki moskiewskie wykazałem zupełną niemożliwość ucieczki z Butyrek, poczem zajęliśmy się planami ucieczki z cytadeli. Przeprowadziliśmy w tej sprawie korespondencyę z więźniami.

Antoniego odwiedzałem dość często. Pewnego razu z niemałem zdumieniem zastałem u niego oficera żandarmskiego, którego Antoni mi przedstawił jako Fursę. Okazało się, że ówczesny zarządzający X pawilonem był kolegą Antoniego z Elizawetgradu i w Warszawie utrzymywał z nim bardzo przyjazne stosunki. Mnie Antoni zarekomendował jako swego przyjaciela lat dziecinnych. Rozgadaliśmy się — naturalnie, jak na wojskowych *) przystało, o kartach i kobietach. O polityce, rozumie się, ani słowa. Wówczas to przeszła mi przez głowę myśl zbliżenia się z Fursą i wyciągnięcia jakiejś korzyści z tej znajomości.

Wkrótce nadarzyła się sposobność zawarcia i innych znajomości tego rodzaju. Mianowicie Antoni zaprosił do siebie na wieczorek karciany Białonowskiego, Fursę, Broka, Własowa (adjutanta gubernialnego zarządu żandarmskiego) i jeszcze 3—4 oficerów — w tej liczbie jakiegoś huzara-polaka, hrabiego z Podola czy Wołynia. Wszyscy oprócz Broka przyszli. Graliśmy w karty i piliśmy do świtu. Potem już często spotykałem się z tymi panami. Białonowski zawsze był bardzo grzeczny, ale do siebie mnie nigdy nie zapraszał. Brok zachowywał się chłodno i dumnie, choć również grzecznie. Własow i Fursa, zwłaszcza ten ostatni, byli bardziej przystępni. Począłem bywać na wieczorach karcianych u Fursy, który udawał bardzo ludzkiego człowieka, z odrazą pełniącego funkcye żandarmskie. Skarżył się, że długi zmusiły go do porzucenia karyery huzarskiej i do przeniesienia się w szeregi żandarmeryi, twierdził że służby swej nie lubi, że przykra jest ona również i dla jego żony, że nieprzyjemnem jest mieć do czynienia z politycznymi, ludźmi wykształconymi, których trzeba traktować jako przestępców. Zwykle tylko przysłuchiwałem się tym wywnętrzaniom się żandarmów, nie biorąc udziału w podobnych rozmowach.

Bywałem u Fursy dość często i zauważyłem następujący szczegół. Kiedy zgromadzeni u niego karciarze wychodzili z cytadeli razem, wówczas Fursa wołał „starszego“ żandarma i polecał mu wyprowadzać gości. Jeśli ktoś z tych ostatnich chciał wyjść wcześniej, Fursa dawał mu swą kartę wizytową, za okazaniem której wypuszczano gościa za bramę. Spróbowałem parę razy tego sposobu wychodzenia, umyślnie nie śpiesząc do bramy, ale bacznie rozglądając się w planie cytadeli. Na tem wczesnem opuszczaniu gościnnych progów Fursy osnułem plan ucieczki.

*) Figurowałem jako lekarz wojskowy, bawiący w Warszawie na urlopie.

Ponieważ nikt nie mógł skontrolować tego czasu, który poświęcałem na dojście od mieszkania Fursy do bramy, przeto mogłem być uciekającym bardzo pomocny właśnie w tym czasie. Ponieważ przepiłowanie krat u okna, przez które więźniowie mogliby opuścić pawilon, nie było zbyt trudnem, bo dostarczonoby im piłek z łatwością, więc chodziło tylko o to, aby, wylazłszy z okna, mogli odrazu udać się do tego miejsca muru, gdzie (po drugiej stronie) czekanoby na nich z drabinką powrozową. Otóż jabym mógł wskazać im to miejsce, a następnie spokojnie opuścić cytadelę z biletem Fursy.

Mogłem dać znać Ludwikowi, że takiego a takiego dnia lub przynajmniej tygodnia będę u Fursy. Ponieważ zaś wiedziałem, gdzie siedzą nasi więźniowie, więc mogłem, mijając ich okna, dać znać i, poczekawszy aż wydostaną się na podwórze, doprowadzić ich do umówionego punktu muru.

Plan ten został przyjęty tak przez Bohuszewiczównę i Razumiejczyka, jak i przez więźniów. Ale rozumieliśmy, że mógł się udać tylko przy zbiegu wyjątkowo sprzyjających okoliczności, bo np. samo zachowywanie w tajemnicy przez dłuższy czas faktu, że kraty są nadpiłowane, było ogromnie trudne. Myśleliśmy tedy i o innem wyjściu — mianowicie o przekupieniu żandarmów.

Ale na tę samą myśl wpadł widocznie i Antoni, który absolutnie nic nie wiedział o naszych przygotowaniach. Los brata, który miał iść na katorgę, wzruszał go, więc pewnego pięknego dnia zwrócił się „po koleżeńsku" do Fursy i, niby żartując, spytał, czyby za jakie 100.000 rubli nie wyjechał razem z Ludwikiem zagranicę? Fursa przyjął to jako żart i nie wypowiedział się ani za, ani przeciw, tylko, żegnając się z Antonim, rzucił mu od niechcenia pytanie.

— Ot żartowałeś o tej ucieczce, no a ile by tak z tego było gotówki?...

Popsuło nam to do pewnego stopnia szyki. Baliśmy się, że Fursa pocznie się mieć na baczności, więc na jakiś czas musieliśmy się powstrzymać ze wszystkiemi przygotowaniami. Daliśmy znać o tem i do cytadeli. Korzystając z przerwy w przygotowaniach, postanowiłem udać się po pieniądze W tym celu zaopatrzyłem się w list Ludwika. Pieniędzy nie otrzymałem, ale obiecano mi je dać za 8 tygodni. Powróciłem więc do Warszawy i zająłem się pierwszym planem.

Więźniom dostarczono piłek i ci rozpoczęli już pracę około krat. Tymczasem pewnego dnia Kunickiego wyprowadzono na spacer, następnie zaś przetranzlokowano do innej celi z zapewnieniem znaczącem, że już do tamtej nie wróci. Plan ucieczki tą drogą został wykryty — i to dzięki zdradzie człowieka, który miał właśnie z dobranymi przez siebie towarzyszami czekać z drabinką. Ponieważ nie znałem ani stosunków miejscowych, ani ludzi, więc nie dopytywałem się, kto ma brać udział w ułatwieniu ucieczki. Wiedziałem, że główną rolę ma wziąć na siebie niejaki Pierzyna (Piński), na którym bardzo polegano, obdarzając go wielkiem zaufaniem. Później okazało się, że Pierzyna był zdrajcą i działał w zupełnem porozumieniu z Białonowskim. Nie rozumiem, dla czego Białonowski nie dał Pierzynie odegrać komedyi do końca. Widocznie stchórzył czegoś i przerwał grę niebezpieczną odrazu.

Pierzyna nie znał ani mego nazwiska, ani pseudonimu, wiedział tylko, że urządzać wszystko ma jakiś „doktor". Nie chcąc być zdemaskowanym, prawie przestałem bywać u Fursy i u Antoniego. Ponieważ miałem jeszcze 8 tygodni czasu do otrzymania pieniędzy, przeto wyjechałem w sprawach konspiracyjnych na południe Królestwa i do Galicyi. Po kilku tygodniach powróciłem i udałem się do Libawy po pieniądze. Właśnie miałem jechać do Mitawy po odbiór gotówki, kiedy odebrałem list, zawiadamiający mnie o aresztowaniu Bohuszewiczówny i Razumiejczyka. Pieniędzy wciąż jeszcze nie mogłem otrzymać. Czekałem na nie przeszło tydzień, nic już nie wiedząc, co się dzieje w Warszawie. Następnie wyjechałem do Prus; kiedym wracał stamtąd, zostałem pod Kownem aresztowany...

„Doktor"

ZE WSPOMNIEŃ WIĘŹNIA

I. Razumiejczykowie.

Józef Razumiejczyk pochodził z rodziny polsko-unickiej w Siedleckiem. I on i jego siostra — Julia — jak również i brat ich otrzymali wychowanie w prawosławnym zakładzie klasztornym, specyalnie zajmującym się przerabianiem na moskali dzieci unitów. I brat Józefa — nauczyciel ludowy — istotnie został przerobiony na narzędzie rusyfikacyi. Wyparł się też całej swej rodziny, która się nie dała złamać przemocy.

Józef Razumiejczyk został aresztowany 4-go września 1884 r. *) w chwili kiedy — razem z Maryą Bohuszewiczówną i Mancewiczem — powracał do domu (na ul. Złotą, Nr 16) ze schadzki z jednym z towarzyszy zagranicznych, czasowo bawiącym w kraju. Na powracających czekali już żandarmi. Bohuszewiczówna pierwsza weszła do bramy, za nią więc rzucili się czekający. Razumiejczyk, widząc, co się święci, zaczął uciekać, żandarmi z krzykiem „łapaj złodzieja!“ popędzili za nim, co umożliwiło ucieczkę Mancewiczowi, który spokojnie poszedł dalej, nie zwracając na siebie uwagi fijołów **).

Stróżowie, zwabieni krzykiem „łapaj złodzieja!“ poczęli dopomagać żandarmom. Jeden ze stróży rzucił na Razumiejczyka żelaznym drągiem od bramy. Uderzenie było tak silne, że Razumiejczyk padł na miejscu, dostając jednocześnie wybuchu krwi. (Miał już suchoty).

W sześć tygodni po tym fakcie dostałem się do cytadeli, gdzie mnie umieszczono obok Józefa. Biedak już dogorywał — na suchoty galopujące. Nie posiadał ani pieniędzy, ani papierosów, był złamany chorobą, na dobitkę żandarmi dręczyli go w nieludzki sposób. Tylko 2 czy 3 razy badano go na górze, później, ponieważ nie mógł już chodzić, badano go w dalszym ciągu w celi. Udało mi się urządzić około pieca przy łóżku t. zw. „tunel“, który w dzień zalepiałem chlebem i papierem, i przez który w nocy dostarczałem Józefowi papierosów, ołówka, wiadomości, otrzymanych podczas spaceru itd. Razumiejczyk stracił głos, ale żandarmi, domyślając się, jak wybitną rolę odgrywał w organizacyi, nie przestawali go dręczyć. Badano go jeszcze na parę dni przed śmiercią. Tylko w ciągu dwóch ostatnich nocy przysyłano mu zamiast oprawców felczera. Zmarł z dnia 4-go na 5 ty stycznia 1886 r.

Nigdy nie zapomnę ostatnich dni przedśmiertnych Józefa i tego strasznego rzężenia, jakie wychodziło z jego ust; — słysząc je nieustannie w ciągu całych długich nocy, począłem niemal żałować urządzenia „tunelu“ — takie to było okropne....

Siostrę Razumiejczyka, aresztowaną jednocześnie z bratem, wkrótce puszczono, ale powtórnie wzięto w lipcu 1886 r. w sprawie zamachu na zdrajcę — Pierzynę — razem z matką staruszką. Starą Razumiejczykową wypuszczono niebawem, ale nie przestano jej prześladować. Kiedy przychodziła do żandarmów w sprawie córki uwięzionej, chorej już na suchoty, na które potem zmarła,

*) Po raz pierwszy aresztowano go w lecie 1884 r., ale wypuszczono, oddając pod dozór policyjny.

**) Zdążył on przestrzedz owego towarzysza zagranicznego i wyjechał z Warszawy w Grodzieńskie — do ojca. Aresztowano go tam, nie domyślającego się jeszcze zdrady Pierzyny (Pińskiego) i Kapciuchiewicza, którym był znany z nazwiska.

a pozbawionej pomocy lekarskiej, traktowano ją z niesłychaną brutalnością. Podoficer żandarmski Siergiejew pozwalał sobie ją nawet poszturchiwać. W końcu wysłano ją w drodze administracyjnej do gub. Nowgorodzkiej, na 3 lata. Białonowski motywował jej ten wyrok bardzo krótko: „Wy nam nadojedajetie!“ (Pani się nam uprzykrza!)

* * *

II. Z cytadeli do Irkucka.

Pewnego razu żandarmom cytadeli udało się przejąć jakiś list Maryi Bohuszewiczówny, pisany do mnie i do Mancewicza. Urządzili więc u niej i u siedzącej razem z nią Felsenhardt rewizyę, szukając ołówka. Podczas rewizyi postępowano bardzo brutalnie. Żona jednego z żandarmów rozebrała obiedwie towarzyszki do naga — i w takiem położeniu musiały czekać dygocąc z zimna około trzech godzin.

Bohuszewiczówna napisała o tem do mnie i Łąckiego (z którym razem siedzieliśmy). Daliśmy znać Mancewiczowi, ten zaś zakomunikował o całem zajściu znajdującemu się w sąsiedniej celi Archangielskiemu (rosyaninowi). Archangielskij, nie porozumiewając się z nikim, zażądał widzenia się z Fursą i domagał się od niego wytłómaczenia zachowania się wobec Maryi Bohuszewiczówny i Felsenhardt. Fursa usprawiedliwiał się i twierdził, że przecież nic nie stało się. Ot, gdyby — — — — — — — — — — — — —,*) byłoby to co innego. Archangielskiego zadowolniło to tłómaczenie, które zakomunikował Mancewiczowi.

Nas zaś wszystkich, kiedyśmy się dowiedzieli o tem, żandarmska bezczelność doprowadziła wprost do wściekłości. Natychmiast postanowiliśmy za pomocą strejku głodowego zażądać widzenia się z Hurką i domagać się oddania Fursy pod sąd za nadużycie władzy.

Podczas przygotowań do strejku głodowego dowiedzieliśmy się o znieważeniu przez Fursę jednego z więźniów — Wisłockiego. Ten ostatni, dowiedziawszy się o śmierci ojca, komunikował tę wiadomość sąsiadowi za pomocą pukania. Na to wpadł do celi Fursa, zwymyślał Wisłockiego i uderzył go w twarz. Sam Wisłocki — młody chłopak — tak był tem przygnębiony, że napisał o całem zajściu do Bohuszewiczówny dopiero w kilka miesięcy po fakcie. Kiedyśmy się o tem dowiedzieli, wściekłość nasza na Fursę jeszcze się spotęgowała. Postanowiliśmy pomścić i tę zniewagę.

Tymczasem większość więźniów nie dała się nakłonić do strejku głodowego. Odmówił udziału, między innymi, i Archangielskij. Na trzeci dzień strejku, przechodząc około celi Archangielskiego, krzyknąłem: — Dlaczego nie strejkujecie?

Żandarmi natychmiast rzucili się na mnie, przewrócili na ziemię i zawlekli przez kancelaryę do mego pokoju, gdzie zbili i związali. Nazajutrz nie powróciłem już do dawnej celi, lecz przeniesiono mnie na korytarz, gdzie mieścili się żandarmi. Rozwiązali i złożyli mnie na łóżko, osłabionego 3-dniowym strejkiem głodowym.

Chcąc dać znać o sobie towarzyszom, rzuciłem się do okna i począłem tłuc szyby. Na odgłos brzęku szkła do celi zjawił się oficer konwoju z żandarmami, którzy na jego rozkaz rzucili się ku mnie z bagnetami. Chwyciłem za jeden bagnet, który przeszedł mi przez dłoń pomiędzy wskazującym a średnim palcami. Odchodziłem już od przytomności i począłem rzucać na żołnierzy kawałkami szkła, przyczem mocno zraniłem się w ręce. Nie wiem, coby się stało, gdyby nie był nadbiegł Fursa z żandarmami. Zbito mię znów i związano.

*) Powiedzenie jego nie nadaje się do druku.

Później już dowiedziałem się o dalszych wypadkach dnia tego.

Otóż Łącki, nie doczekawszy się mnie i, robiąc jaknajgorsze przypuszczenia, począł łamać wszystko w celi, co mu wpadło pod rękę. Związano go i również przeniesiono na korytarz żandarmski. Przez trzy miesiące i on i ja siedzieliśmy, oddzieleni od świata, nie mając ani książek, ani spacerów, nie opuszczając ani na chwilę cel.

W 2 czy 3 dni po przeniesieniu mnie i Łąckiego, Mancewicz oświadczył, że przerywa strejk i chce widzieć się z Fursą. Kiedy ten ostatni zjawił się, Mancewicz rzucił się i chciał go spoliczkować, co mu się jednak nie udało. Żandarmi zbili go jak również i nic o zamiarze Mancewicza nie wiedzącego jego współwięźnia — Strzemińskiego, związali obydwóch i też przenieśli na żandarmski korytarz.

Bohuszewiczówna i Felsenhardt słyszały krzyki i szamotanie się na korytarzu i, zaniepokojone tem wszystkiem, zażądały Fursy. Ten wszedł do celi w otoczeniu żołnierzy z wydobytemi szablami i począł się użalać: „Za co mię oni biją? Przecież postępuję z nimi poludzku...

Felsenhardt podniosła nań rękę, ale natychmiast obalono ją na ziemię i zbito wraz z Bohuszewiczówną, a potem przeniesiono je na korytarz żandarmski.

Nareszcie zjawił się i Hurko, a potem Turau, którym skarżyliśmy się na Fursę. Jednakże zamiast Fursy oddano pod sąd Mancewicza i Strzemińskiego*).

* * *

Wysłano nas na Sybir wszystkich razem. Marya Bohuszewiczówna doszła do Krasnojarska, ale już dalej iść nie mogła: tak była słaba. Życie zamierało w niej w naszych oczach. Lubiano ją ogromnie, to też nikt nie chciał się z nią rozstawać. Po drodze na Sybir pisała pamiętnik, który potem krążył wśród wygnańców w odpisach. Doprowadziła go aż do chwili wstąpienia do czynnych szeregów partyi. Streściła w nim całą swą ewolucyę przekonaniową. Pierwotnie była gorącą patryotką — z jednej strony dzięki tradycyom rodzinnym (pochodziła w prostej linii z rodziny Kościuszki), a z drugiej pod wpływem jednego ze swych krewnych. Socyalistką stała się pod wpływem Maryana Bohusza, którego była narzeczoną. Wejście Maryi na drogę działalności praktycznej rozchwiało zamierzony związek małżeński. Pomimo to zostali przyjaciółmi.

Udało nam się zatrzymać całą partyę przez miesiąc w Krasnojarsku. Kiedy nadeszła inna partya, musieliśmy iść w dalszą drogę, opuszczając Maryę na zawsze. Pozostał przy niej tylko Mancewicz.

W Birusie wybuchł tyfus. Konstanty Strzemiński nia mógł już iść dalej**). Nie pozwolono nam pozostać przy nim, choć telegrafowaliśmy o to do Petersburga. Tylko jeden z nas pozostał przy nim aż do jego śmierci.

W Niżnieudińsku już było kilkunastu chorych na tyfus. Tu też zmarła Rozalia Felsenhardt. Nasza gromadka topniała coraz bardziej. Kiedyśmy dotarli nareszcie do Irkucka, tyfus i mnie zwalił z nóg — ostatniego, jak na „starostę“ partyi przystało.

---

*) O tem dowiedzieliśmy się już w Irkucku gdyż sądzono ich zaocznie. Mancewicz musiał odsiedzieć 6 miesięcy za „czynną zniewagę“.

**) Strzemiński po drodze na Sybir począł pisywać poezye — niektóre z nich, zwłaszcza przekłady z Nadsona — były bardzo udatne.

Grupa „Proletaryatu“ z r. 1888-go

Po wielkim procesie „Proletaryatu“, który się zakończył w Warszawie 20 grudnia 1885-go r., spokój zapanował w naszym obozie socyalistycznym. Wprawdzie nie wszyscy byli zaaresztowani, ale organizacyę rozbito, lepsze jednostki wyłowiono, a pozostali, nieliczni, najczęściej nie wiedząc jeden o drugim, zapadli w bezczynność. Grupa Maryi Bohuszewiczówny, powstała z Czerwonego Krzyża partyi „Proletaryat“, usiłuje wskrzesić organizacyę, lecz rychłe aresztowania położyły kres tym wysiłkom. Ale spokój panujący był tylko pozorny, gdyż istniały i rozwijały się liczne kółka inteligenckie, utworzone dla celów samokształcenia, do tych zaś kółek niejednokrotnie należeli i robotnicy. Oprócz tego istniała organizacya oświaty ludu miejskiego. Wprawdzie kółka te miały na celu pracę kulturalną i były wszystkie bez wyjątku patryotyczne, to jednak były źródłem, skąd wyszło wiele ludzi, którzy potem utworzyli organizacyę II go Proletaryatu w r. 1888.

W r. 1887 należałem do kółka samokształcenia, które założyli uczniowie wyższych klas VI gimnazyum w Warszawie. Oprócz uczniów wspomnianego gimnazyum do kółka należało kilku młodzieńców z innych gimnazyów, dwóch robotników i pewien urzędnik prywatny. Program naszego kółka obejmował samokształcenie się, gimnastykę i życie towarzyskie. Na początku lata 1887 roku poznałem się za pośrednictwem jednego z członków kółka z L. K. i K. Sz; od nich też po raz pierwszy dostałem do przeczytania kilka broszurek socyalistycznych. Jakkolwiek już wtedy byli oni socyalistami, to jednak określonych zupełnie poglądów jeszcze nie mieli.

Wkrótce też zorganizowałem kółko, w którem K. wykładał historyę Polski. Wykłady te wpłynęły bardzo korzystnie na słuchaczy. Oprócz wykładów z historyi odbywały się i inne jako to z ekonomii politycznej i z nauk przyrodniczych. Jesienią 1887 r. K. wyjechał do Genewy na uniwersytet, gdzie zapoznał się z Dębskim, Mendelsonem i innymi emigrantami. Pod wpływem tych ostatnich stał się socyalistą wyraźnym, z poglądami określonymi. Po trzech miesiącach pobytu w Genewie przyjechał do Warszawy z gotowym planem prowadzenia propagandy socyalistycznej w myśl programu partyi „Proletaryat“. Trzeba było jednak najprzód stworzyć organizacyę, co nie było zbyt łatwą rzeczą, gdyż wiele z przyjaciół politycznych K. nie godziło się na jego zmianę poglądów, i o wznowieniu „Proletaryatu“ słyszeć nie chciało. Mimo to na początku roku 1888 organizacya została stworzona, co w znacznym stopniu było ułatwione przez owe kółka, gdzie K. przed swoim wyjazdem i inni wykładali. Z kółek tych wiele robotników wstąpiło do nowo zorganizowanej partyi.

Najwybitniejsi członkowie nowej organizacyi byli: K, Wł. Studnicki, Kasyusz i Sz. Przyjechał też do Warszawy na początku 1888 roku Marcin Kasprzak.

Programowo nasza organizacya nie różniła się od „Proletaryatu“: wierzyliśmy w rewolucyę w Rosyi i dążyliśmy do niej. W naszem zrozumieniu ówczesnem, rewolucya ta miała być zupełnie gruntowną, rozwiązującą wszystkie kwestye społeczne i polityczne, dlatego byliśmy przeciwni podnoszeniu kwestyi narodowościowej, nie mogąc jej pogodzić z naszem dążeniem do rewolucyi. Rewolucyonistów rosyjskich uważaliśmy za naturalnych swoich sprzymierzeńców, a chociaż ruch rewolucyjny w Rosyi wtedy był już rozbity i zdemoralizowany, to wierzyliśmy w jego wznowienie.

Robota z początku 1888 r. szła dość raźno: organizowaliśmy kółka dla wykładów, urządzano pogawędki itp. Wyróżniały się wykłady ekonomii politycznej Wł. Studnickiego, którego wiele robotników z wielką ochotą słuchało.

Pierwsze potrzeby finansowe pokrywano ze składek, wieczorków itd.; dochody to były nie wielkie, a chociaż i wydatki młodej organizacyi nie były zbyt duże, przecież nieraz był taki brak pieniędzy na różne potrzeby partyjne, że towarzysze nasi niejednokrotnie zastawiali swoje rzeczy w lombardach, byle tylko wyrwać nieco grosza na najbardziej palące wydatki partyjne. Finanse mogły być poprawione przez rozszerzenie działalności agitacyjnej na większą ilość robotników, lecz brak był z jednej strony agitatorów-robotników, którzyby mieli bezpośrednie stosunki z masami robotniczemi, z drugiej zaś strony brakowało zupełnie literatury. Literatury socyalistycznej mieliśmy dopiero w połowie 1888 r. podostatkiem, wtedy, kiedy już zdołaliśmy zwrócić na siebie uwagę szpiclów.

K. miał nawet zamiar wstąpić do jakiejś fabryki jako robotnik, aby mieć możność wejść w stosunki bezpośrednie z robotnikami. Pomysł ten, nader niefortunny z bardzo wielu względów, nie przyszedł do skutku.

Na wiosnę 1888 r. robota nasza rozszerzyła się znacznie przez wstąpienie do partyi Władysława Anielewskiego, Antoniego i Napoleona Zelcerów i Dąbrowskiego — zdolnych i inteligentnych agitatorów. Niektórzy z nich już przedtem brali udział w ruchu robotniczym. Na tem miejscu wspomnę Napoleona Zelcera, który, aresztowany w końcu 1888 r., przesiedział w cytadeli w śledztwie 2 lata, skazany na 5 lat Kresta, po odsiedzeniu 2 lat zmarł na suchoty w szpitalu więziennym w Petersburgu. Gdy wstąpił do partyi, liczył lat 18 dopiero, ale jego inteligencya, jego wiara w ideał socyalistyczny, jego niezrównana odwaga czyniły go człowiekiem skończonym. Pracując w Warszawie przy kanalizacyi miejskiej, miał sposobność stykać się z robotnikami bezpośrednio. Oddał on też partyi znaczne usługi.

By zastąpić choć w części brak bibuły, wydano kilka rzeczy litografowanych, jakoto: „O podziale bogactw w przyszłym ustroju socyalistycznym“ K. Kautsky'ego, „Z powodu broszury „Rzecz o obronie czynnej i skarbie narodowym“ K. — była to krytyka znanej broszury T. Jeża; „Kurs ekonomii politycznej“ Wł. Studnickiego i wreszcie odczyt K. „O anarchizmie“. Rozrzucono też dwie odezwy, drukowane zagranicą. Tak ożywiony na wiosnę ruch znowu począł słabnąć latem. Najprzód, już szpicle zaczęli nas śledzić, wskutek czego K. udał się czasowo na emigracyę do Krakowa; wielu towarzyszy wyjechało na wakacye, wreszcie powstały niesnaski i niezgoda w łonie samej organizacyi — pomiędzy K. i Kasprzakiem — wszystko to razem wzięte, osłabiło ogromnie ruch. Zebrania i odczyty były rzadkością. Zato bibuły było już dość dużo — na nasze potrzeby wówczas aż zanadto. Jakkolwiek nic wtedy nie robiliśmy, przecie pomysłów nie brakło, nawet bardzo rewolucyjnych. Był projekt — Anielewskiego — wysadzenia w powietrze cerkwi prawosławnej na placu Krasińskich. Projektem tym Anielewski zajmował się w swojom kółku, nawet dość szczegółowo, jednak z tego wszystkiego nic nie wyszło. Projekt sam miał przeciwników, zresztą nie robiono z niego wielkiej tajemnicy. Już to pod względem konspiracyjnym wiele grzeszono w r. 1888. W ludziach nie było wielkiego braku, na dobrych chęciach nie zbywało, ale konspiracyjnością nikt z nas nie grzeszył. Niektórzy wprost byli do niej niezdolni, inni zaś — większość — zbyt młoda była wiekiem i pracą w ruchu socyalistycznym, aby mogła była jej nabyć.

Istniał zamiar urządzenia zjazdu partyjnego na jesieni, kiedy była nadzieja, że ruch się ożywi, gdy towarzysze powrócą z wakacyi. Jakoż istotnie na jesieni ruch się począł ożywiać. Powrócił Wł. Studnicki, powrócił K. z Krakowa; zato Anielewski i Dąbrowski zmuszeni byli udać się na emigracyę. Innych też coraz bardziej szpiclowano, tak że wciąż można było czekać aresztowań. Ta niepewność jutra paraliżowała chęci do roboty, wreszcie niespodziewanie aresztowano 8 października Wł. Studnickiego w jego pomieszkaniu na Chmielnej, a nazajutrz zabrano Sz. i Naziębłę. Jakkolwiek aresztowań tych należało się spodziewać, to przyśpieszenie ich spowodowało nietaktowne zachowanie się Wł. Stud-

nickiego wobec rządcy domu, gdzie mieszkał, wskutek czego ów rządca kazał go aresztować. Po wzięciu Sz. i Naziębły wkrótce aresztowano Zelcerów a potem K. Przedtem jeszcze Kasyusz wyjechał za granicę, tak że z grupy 1888 r. z końcem roku nie pozostał prawie nikt.

Rozpatrując rzetelnie to, co zrobiono w ciągu roku, mimowoli czuje się upokorzenie, że rezultaty były tak małe, ale czyż można winić za to tych ludzi, że nie robili więcej? Wszak byli to przeważnie ludzie młodzi, bez praktyki, często bez głębszej wiedzy, więc i tego, co zrobiono w ciągu roku, niepodobna lekceważyć.

W. S.

Ryska grupa partyi „Proletaryat

(1890 — 1892)

W styczniu roku 1890 do małej grupki starszych i wytrawnych towarzyszy z „Proletaryatu“ przyłączyło się około dwudziestu studentów z politechniki ryskiej, poprzednio tworzących sekcyę organizacyi patryotycznej. Od tego czasu zawrzała robota na całej linii.

Dzięki wyrobieniu, stosunkom i pracom, podejmowanym od kilku lat przez starszych towarzyszy, nowi, młodzi, jeszcze mało wyrobieni towarzysze mieli możność nadzwyczaj szybko przejąć się ideą socyalistyczną i bezzwłocznie bez dysput w czyn ją wprowadzać.

W Rydze wtedy było bardzo dużo żołnierzy polaków z Królestwa. Zabrano się więc do nich z całą energią, Prawie każdy z towarzyszy miał przy najmniej jednego żołnierza, z którym studyował prawie całą ówczesną polską literaturę socyalistyczną. Nie zapomniano i o naukach przyrodniczych, które obok socyalizmu z nadspodziewaną siłą druzgotały wszystkie tamy przesądów. Bardzo często niestety przy tej sposobności musiano obok tego prowadzić naukę czytania i pisania. Była to praca nadzwyczaj wdzięczna. Formalnie w oczach z ciemnego prostaczka wychodził człowiek duchowo silnie rozwinięty, gotowy do najszczytniejszych czynów. Kiedy takim żołnierzom służba w wojsku się kończyła, zaopatrywano ich w starannie ułożoną biblioteczkę socyalistyczną, jak również w wybór legalnych broszurek ogólnie kształcących.

Oprócz żołnierzy była w Rydze grupa robotników polskich, przez długie lata uświadamianych i kształconych przez starszych „proletaryatczyków“. Byli to zupełnie wyrobieni, inteligentni i oddani sprawie towarzysze. Niejeden z nich władał językiem litewskim i łotewskim, dzięki czemu był przystęp do szerszych sfer robotników fabrycznych. Przez tych ludzi miało się wpływ na niejeden strejk w Rydze.

Równolegle z tą robotą szło organizowanie transportów wydawnictw zagranicznych. To nam jednak nie wystarczało; zajęto się więc wydawaniem broszurek litografowanych, nadzwyczaj starannie drukiem pisanych, najczęściej tłumaczonych z niemieckiego. Przyszła kolej i na drukarnię. W jesieni 1890 r. sprowadzono z zagranicy maszynę drukarską i czcionki. Lecz jakież było nasze zmartwienie, kiedy się okazało, że komplet sprowadzonych czcionek jest niemiecki, tak że na polski tekst nie wystarczało niektórych liter nawet na złożenie dwóch stronic. Rada się jednak zaraz znalazła; wysłano bezzwłocznie jednego z towarzyszy do Berlina i w przeciągu niespełna dwóch tygodni parę pudów brakujących czcionek było już w Rydze. Tymczasem drukarnia nie potrzebowała próżnować, gdyż właśnie pierwszym obstalunkiem Centralnego Komitetu Partyi „Proletaryat“ z Warszawy była ustawa „kas oporu“ po polsku i po

niemiecku. Można więc było, nie czekając, przystąpić do druku niemieckiego wydania owej broszury. Od tego czasu była robota w drukarni prawie nieprzerywana i trwała do wiosny 1892 r. Oprócz odezw wydano następujące broszury: Wspomniane już „Ustawy kas oporu", „O konkurencyi" — przeróbka artykułów ze starego „Przedświtu", „Socyalizm a religia chrześciańska" — A. Bebla, „Jak francuski robotnik zdobywał swobodę" — również przeróbka artykułów ze starego „Przedświtu", znacznie rozszerzona; „Rozmowa dwu kumotrów"; „Pogadanka Kuby z Janem" i „Katechizm Rewolucyonisty".

Ciekawe, że przy gorączkowej robocie, wymagającej dużych środków materyalnych, nie było mimo to z tem kłopotu. Ta mała stosunkowo grupa oddawała wszystko, co tylko pozostawało od skromnego utrzymania, wynoszącego mniej więcej 20 rs. miesięcznie na każdego. Toby jeszcze jednak nie wystarczało; towarzysze studenci zorganizowali wydawnictwo kursów politechnicznych. Kursa były wydawane tak starannie, że się cieszyły ogromnym pokupem. Wszystkie te dochody wynosiły około 2.000 rs. rocznie; pozwalało to nie żądać pomocy materyalnej z Warszawy, a przeciwnie — wszystko jej darmo dostarczać.

Przy takiej jednak intensywnej, ofiarnej robocie atmosfera w Rydze, w obcem mieście, stawała się za duszną. Chcieliśmy się dostać koniecznie do serca Polski — do Warszawy, żeby tam nagromadzony zbytek energii módz wyładować.

I istotnie wkrótce już część towarzyszy ryskich dostała się wreszcie do tej upragnionej Warszawy; pozostała zaś drużyna w Rydze dalej prowadziła zwykłym trybem swoje roboty.

Po przyjeździe do Warszawy zaczęto rozglądać się w sytuacyi; wzięto udział w kilku większych zebraniach robotniczych, dziwiono się śmiałemu urządzaniu wieczorków, na które schodziło się do 80 robotników i robotnic; słyszano ich mowy energiczne, deklamacye i chóralne śpiewy rewolucyjne, które rozlegały się na całą ulicę. Z jednej strony podobała się ta brawada wobec szpicli, gęsto już w Warszawie grasujących, z drugiej jednak towarzyszom, przyzwyczajonym do cichej i bardzo konspiracyjnej pracy w Rydze, musiało to wszystko przedstawić się zbyt nieostrożnem i jeszcze zawczesnem. Wyobrażano sobie możliwość takiego życia dopiero wtedy, kiedy proletaryat uświadomiony byłby już tak liczny, że rząd rosyjski na samem budowaniu więzień dla nich musiałby zbankrutować.

Na tryumfy żandarmeryi nie trzeba było długo czekać. Rozpoczęły się aresztowania i przybrały olbrzymie rozmiary; towarzyszy ze stosunków ryskich, już wówczas dość licznych, nic nie pozostało. Formalna rozpacz ogarnęła ludzi, przybyłych do Warszawy. W takich warunkach myśleć tylko oni już mogli o jakimś potężnym odwecie — o odwecie, który postawiłby granice moskiewskim zbirom w ich bezczelnem prześladowaniu i tyranizowaniu ludzi, których całą winą było nieraz prawdziwe oświecanie i podnoszenie poziomu człowieczeństwa swoich współbraci.

Wtedy był już i Michał Zieliński w Warszawie w kółku swoich towarzyszy. Muszę tu parę słów powiedzieć o Michale, który uczuciami swemi, energią i oddaniem się idei, w którą wierzył, przerastał o wiele wszystkich swoich ryskich towarzyszy. On to właśnie głównie miał stosunki z wojskiem, dostarczając nam odpowiednio wybranych żołnierzy; on załatwiał wszystkie konspiracyjne roboty przy wydawnictwach litografowanych; on to głównie wyrobił na granicy możliwość transportowania całemi masami naszych wydawnictw zagranicznych; on wreszcie sprowadził drukarnię, ulokował ją w bezpiecznem miejscu i do pracy sumiennej towarzyszy zachęcał. Jednem słowem Zieliński był tą nieznaną energią, która zasilała wszystkich towarzyszy przy pracy intensywnej, gorączkowej prawie, jaką była wówczas w Rydze. Wiekiem był on ze wszystkich najstarszy, to mu jednak nie przeszkadzało zająć pierwszego miejsca i w późniejszych planach warszawskich.

Po rozbiciu więc zupełnem partyi „Proletaryat“ w Warszawie postanowiono wysadzić w powietrze sobór na Długiej ulicy w chwili, kiedy byłaby tam zebraną cała zgraja najezdców razem z ich najwyższymi przedstawicielami, kierownikami całego ucisku — tak politycznego, jak też kulturalnego w Polsce.

Nim przystąpiono do przygotowań, zamknięto się w bardzo małem kółku bezpośrednio zainteresowanych w urzeczywistnieniu tych planów ludzi i zerwano inne stosunki towarzyskie, któreby mogły zwiększyć liczbę późniejszych ofiar.

Po pewnym czasie, kiedy przygotowano już przeszło litr czystej nitrogliceryny, zabrano się do wykonania prób. Wyjechano więc w tym celu łódką na Bielany i tam w lasku, w niedalekim dystansie od żołnierskiego obozu, wtedy, kiedy muzyka wojskowa wykonywała bezmyślnie hymn carosławia a swego ucisku, strzelono na wiwat tak szczerze i donośnie, że i dziesięć armat naraz wystrzelonych nie zrobiłoby takiego efektu. Zieliński, chcąc koniecznie własnemi oczami przyjrzeć się tej strasznej broni, której miał później użyć, pomimo robionych mu uwag, przykucnął o 20 kroków od zapalonego lontu i wyczekiwał spokojnie wybuchu. Po chwili ujrzano w środku duży dół w ziemi, naokoło trawę wyrwaną z korzeniami, a dalej jeszcze całą roślinność przystrzyżoną przy samej ziemi. Uciecha z powodzenia była olbrzymia: zniszczono natychmiast wyraźniejsze ślady i odbito pośpiesznie łódkę na sam środek Wisły.

Niestety jednak z racyi początkowych stosunków z towarzyszami warszawskimi, których widocznie już bardzo strzeżono, a później aresztowano, ściągnęli na siebie nasi towarzysze całą zgraję szpicli, którzy nie odstępowali już wtedy na krok ich mieszkań. Spodziewano się więc lada chwila nowych aresztowań, liczono tylko, że się może jeszcze z tem trochę odwlecze, a tymczasem oni zrobią swoje. Nie bez wpływu jednak było dalsze, coraz natarczywsze prześladowanie szpicli na wykonanie całego planu starannie obmyślanego w szczegółach. Pod groźbą straty całości planów zamierzonych poświęcono część z tego.

Dnia 2 października Michał Zieliński sam, bez żadnej kompetentnej pomocy i nie tak, jak sam chciał, poszedł dokonać zamachu i sam zginął. Wybierał się na niechybną śmierć. Miał na sobie jeszcze jedną bombę, która miała być przeznaczona dla niego samego, żeby ślady jego osoby zniszczyć.

X.

BUNT ŁÓDZKI w r. 1892 *).

Dnia 1 maja 1892 r. było w Łodzi, jak wiadomo, trochę proklamacyj, ale 1 maja przeszedł całkiem cicho, tak samo dnie następne. Policya pilnowała z początku skrzętnie; ale wogóle trzeba tu przypomnieć, że policya i żandarmerya w Łodzi zostały porządnie zorganizowane dopiero po zaburzeniach w r. 1892, a przedtem były byle jakie. Dopiero dnia 5 maja wybuchły zaburzenia. Stanęła najpierw jedna niewielka fabryka w północno-zachodniej dzielnicy. Po krótkim zatargu między tymi, co chcieli strejkować, a tymi, co chcieli pracować, zwyciężyli pierwsi — i wszyscy wyszli na ulicę ze śpiewem, aby skłaniać i zmuszać

*) Historya wielkiego ruchu robotniczego w Łodzi dotychczas nie jest prawie znaną. Był to ruch żywiołowy, nieprzygotowany, niekierowany i niespodziewany, a rząd, przerażony rozmiarami ruchu, robił wszystko, co mógł, aby się wieści o nim nie rozeszły i aby o tem zapomniano. Drukując wspomnienie jednego z naocznych świadków, nie możemy brać na siebie odpowiedzialności za ścisłość jego przedstawienia rzeczy; dlatego wzywamy i innych świadków, którzy niniejsze opowiadanie sprostować lub dopełnićby mogli, aby się do nas zwracali ze swymi wspomnieniami. W ten sposób uda nam się może zbudować całkowitą historyę tego ruchu i pozwoli na wyprowadzenie z niej wniosków. *Redakcya.*

i inne fabryki do pójścia za ich przykładem. Fabrykanci natychmiast dali znać do policyi i do wojska. Było to około 11-ej rano. Tłum strejkujących wzrastał. W fabryce Szmita zastali oni bramy zamknięte i strażników przed i poza bramami. Pomimo to brama została wyłamaną i robotnicy z wewnątrz przyłączyli się do strejkujących. Tu jednak nadeszły oddziały wojska i policyi i zaczęły chwytać pierwszych jeńców oraz prowadzić ich przez ulicę Piotrkowską, Nowy Rynek, Konstantynowską ku więzieniu.

Pierwszy taki oddział wojska z jeńcami spotkali na ulicy Konstantynowskiej robotnicy z położonej tam w pobliżu fabryki Poznańskiego. Jeńcy stawiali poprzednio opór; niektórzy byli pobici i pokrwawieni. Robotnicy od Poznańskiego zastąpili wojsku drogę (był to oddział piechoty) z postanowieniem odbicia jeńców. Z robotnikami połączył się ciągle rosnący tłum, w którym było też dużo kobiet. Niedaleko leżały kupy kamieni, przygotowanych do brukowania ulicy; ludzie zaczęli się w nie zbroić.

Tymczasem oficer, prowadzący oddział, oddalił się, został przy komendzie podoficer, który nie wiedział, co począć, nie śmiał wydać rozkazu strzelania. Kiedy jednak kamienie poczęły się sypać na wojsko, nie wiadomo, czy podoficer wydał komendę, czy żołnierze strzelili sami — padły strzały, były to pierwsze strzały w tym dniu. Zabiły one na miejscu pięć osób z tłumu, w tej liczbie jednego ucznia 5-ej klasy szkoły realnej, żydka, i jedną babę, która miała fartuch pełny kamieni. Tłum jednak nie dał się odstraszyć, przeciwnie, rozwścieczony, zaczął coraz potężniej bombardować wojsko brukowcami; inne baby oddarły zabitej jej zapaskę z kamieniami i rzuciły się też na żołnierzy, Ci bronili się bagnetami, strzelali jeszcze, lecz napór licznego tłumu był tak straszny, że po chwili oddział, pozostawiając jeńców w rękach towarzyszy, zaczął uciekać w rozsypce ku Nowemu Rynkowi z powrotem. Na rogu jednej z ulic podoficer spotkał przechodzącego innego oficera i podbiegł do niego, prosząc, aby objął komendę i doprowadził żołnierzy do porządku, ale oficer ów poszedł dalej.

Było około 2-ej popołudniu, kiedy padły pierwsze strzały. Tymczasem przyszła od Hurki, zapytanego, depesza: *strielat', patronow nie żaliet'*, i zaczęła się strzelanina w różnych punktach miasta. Wojsko jednak działało pojedyńczymi oddziałami, a tłumy zbuntowanych robotników ciągle wzrastały i bynajmniej nie cofały się przed walką z wojskiem. Śmierć towarzyszy tylko podniecała pozostałych. Ze szczególną zaciętością odbijano jeńców. Jeńcy ci, zanim zostali wzięci, bronili się wściekle, raniąc i zabijając żołnierzy; sami też szli potem pokrwawieni, poranieni, ale z dumnem wejrzeniem. Gdy spotkanym towarzyszom udawało się ich odbić, to duch jeszcze wzrastał. Jedną partyę jeńców udało się jednak silnemu oddziałowi wprowadzić do więzienia i tam natychmiast zaczęto ich katować na dziedzińcu, za zamkniętemi bramami. Krzyk katowanych tak podziałał na tłum, który się zebrał przed wejściem, że pomimo ognia, dawanego przez żołnierzy, rzucił się do szturmu z niewypowiedzianą zaciekłością. Bramy zostały i tu wyłamane; więzienie — zdobyte. Tłum rzucił się w dalszym ciągu ku koszarom — tam już zastał bardzo niewiele wojska, i to się, strzelając, wycofało; i koszary wpadły w ręce powstańców, którzy jednak broni, ani amunicyi tam nie znaleźli.

Czem sobie wytłomaczyć to powodzenie powstańców? Wojska było wprawdzie w Łodzi w owej chwili tylko 4.000, ale przecież sądzić należy, że gdyby było chciało, mogłoby się było bezwarunkowo w więzieniu i w koszarach obronić. Możliwem więc jest i prawdopodobnem, że wycofanie się wojska z Łodzi ku Konstantynowu było celowem, odpowiadało planowi stłumienia buntu. Zaznaczamy jeszcze, że napór ludzi był tak wściekły, że w wielu miejscach żołnierze sami stawiali barykady z dorożek i t. p., aby zza nich dopiero módz strzelać do ludu; w dwóch miejscach zaś, jak opowiadano, żołnierze nie wykonali rozkazów strzelania do robotników. Jedna z tych rot miała być złożoną z małorusinów, druga

— mieszana; później opowiadano sobie, że żołnierzy bez robienia skandalu porozdzielano między inne roty. Dość, że wojsko całe wycofało się około 4-ej popołudniu z miasta. Z wojskiem, ma się rozumieć, uciekły też wszystkie władze, burmistrz Pieńkowski, policmajster Danilczuk, najgorsi złodzieje, i część fabrykantów. Ci, co nie zdążyli, drżeli ze strachu, siedzieli pozamykani w domach, za zamkniętemi okiennicami nawet; słyszałem o jednym, który ofiarowywał 40.000 rubli komuś, żeby go wyprowadzić za miasto. Ale w samej Łodzi panował porządek; nie rabowano, nie zabijano. Tylko nastrój mas robotniczych był nadzwyczaj dumny, tryumfujący. Nastrój ten udzielał się części inteligencyi. Nawet panny mówiły o tem, żeby iść razem z robotnikami. Jednak większość inteligencyi siedziała cicho po domach; wiem tylko o niektórych wypadkach, że młodsi chwytali za rewolwer, biegli na ulicę, mieszali się z tłumem, chodzili z nim wszędzie, strzelali do wojska. Słyszałem też, że robotnicy niektórzy sarkali między sobą na socyalistów, że proklamacye rozrzucają, a później w ruchu ich niema.

Inaczej działo się tymczasem na Bałutach. Tam pobytowi złodzieje zaraz skorzystali ze sposobności i zaczęli rozbijać. Żyd rzeźnik, broniąc swej własności, trzasnął jednego z napastników toporem po głowie i zabił na miejscu. Czy to podziałało, czy też rzeczywiście, jak przypuszczano, policya, która w Łodzi, jak wszędzie, była w najlepszem porozumieniu ze złodziejami, wycofując się, dała im wskazówkę, aby bili żydów, w celu zamącenia i sparaliżowania zuchu, dość że zaczął się na Bałutach straszliwy pogrom żydów, rabowanie, pustoszenie mieszkań, mordowanie, szczególniej małych dzieci. Chociaż masa robotników łódzkich nie brała w tem udziału, jednak zajścia te zachwiały mocno ich nastrój, wzbudziły wahanie się i niepewność.

Nie objawiło się to natychmiast. Po wyjściu wojska robotnicy czuli się panami Łodzi i myśleli nawet o jej obronie. Broni wprawdzie nie mieli, bo obydwa sklepy z bronią zostały całkowicie przez wojsko przed wyjściem opróżnione i broń zabrana. Wojsko zostawiło tylko w pośpiechu dwie armaty przed cerkwią, którą poprzednio kazano przedewszystkiem zabezpieczyć. Armaty te stały przed cerkwią i nie przeszkodziły ludowi powybijać w cerkwi wszystkie szyby kamieniami. Że jednak część przynajmniej robotników myślała o obronie miasta, świadczy ten fakt, że grupy wychodziły na plant kolei i psuły relsy. Plant był już strzeżony przez wojsko, które koncentrowało się na stacyi Andrzejów; robotnicy jednak przepędzili pierwszą nieliczną straż i dopiero przez nadbiegające posiłki zostali wyparci, i plant doprowadzony do porządku.

Około 4 i pół popołudniu tłumy robotników zapełniły wielki rynek. Przyniesiono tam trupy poległych; był między nimi i ów zabity przez rzeźnika. Wystąpiło paru mówców i zaczęli dowodzić, że trzeba teraz wybrać wodza — „króla polskiego“. I wybrano tego „króla polskiego“: został nim niejaki W.... krawiec łatacz z zawodu, którego i przedtem znałem i spotykałem. Zobaczyłem go też, jak wszedł na stół i zaczął mowę, której jednak z powodu odległości słyszeć nie mogłem. Gdy tak mówił, nagle od strony przeciwnej ulicy Konstantynowskiej wpadł silny oddział kozaków konnych. Chociaż bowiem wojsko było wyszło z miasta i zaczęło je otaczać z różnych stron, podjazdy takie wpadały od czasu do czasu, przelatywały co koń wyskoczy po ulicach, na których nie było ani placówek robotniczych, ani żadnych środków obronnych. Kozacy, tratując i rozpędzając tłum, rzucili się ku W...., pochwycili go i popędzili ulicą Konstantynowską. Posypały się za nimi kamienie; część tłumu rzuciła się w pogoń z krzykiem: „Króla zabrali!“ — ale go nie odbito.

Później widziałem byłego „króla“ na ulicach Łodzi; był znów krawcem — łataczem. Podobno zsieczono go okrutnie, potrzymano krótki czas i wypuszczono.

Ogromna masa robotników nad wieczorem zebrała się na Księżym Młynie i odbyła tam naradę, której rezultatem było — gromadne wyjście do lasu Konstantynowskiego. Przez dobre dwie godziny przeciągał tłum w porządku pryn-

cypalną ulicą miasta, Piotrkowską, ku Nowemu Rynkowi i ulicy Konstantynowskiej butnie, śpiewając i bijąc laskami po zamkniętych okiennicach burżujów, niosąc zapasy jedzenia. W lesie rozłożono się obozowiskiem.

Tymczasem ściągano wojsko ze wszystkich stron. Z Kalisza dragoni, z Wielunia kozacy przybyli forsownym marszem na rano. Przyszło też wojsko z Częstochowy, z Piotrkowa, później i z Warszawy. Po paru dniach było w Łodzi wojska 40.000. Ale już nazajutrz rano, po wyjściu robotników do lasu, zaczęło ono z powrotem z różnych stron wchodzić do miasta. Najpierw o świcie wpadały całym pędem silne patrole konne; wydawano rozkazy, aby wszędzie okienice i drzwi były pozamykane, aby nikt nie śmiał wychodzić na ulicę pod niebezpieczeństwem śmierci. Pomimo to, gdy wchodził pierwszy oddział piechoty od strony Księżego Młyna, z najwyższego piętra jednego domu gruchnęły do niego dwa strzały, co miało ten skutek, że żołnierze poszli w rozsypkę i zaczęli uciekać. Strzelano też do żołnierzy z budującego się domu przy ulicy Konstantynowskiej; żołnierze wpadli tam, ale nikogo nie schwytali. Później jeszcze przez szereg dni ginęli szczególniej kozacy, jeżdżący małemi grupkami na patrole; znajdowano ich pod mostem na rzeczce Łódce, w sąsiedztwie Bałut.

Z robotnikami, obozującymi w lesie, rząd zaczął pertraktacye. Miller, gubernator piotrkowski, który zaraz przyjechał, żądał wybrania delegatów. Robotnicy odmówili i zażądali, aby Miller do nich przyjechał. Podczas swej bytności dostał kamieniem. Robotnicy stopniowo wrócili do miasta i poszli do roboty. Fabrykanci, przerażeni, byliby im porobili na razie jak największe ustępstwa; ale Miller najsurowiej tego zakazał.

Robotników zabitych, tych tylko, których pogrzebano po wejściu wojska do miasta, było 108. Żołnierzy zabitych i ciężko rannych podawano na 51. I jedna i druga liczba są prawdopodobnie niższe, niż w rzeczywistości.

Robotników obojga płci, którzy brali udział w rozruchach, było najmniej 100.000. Do łódzkich przyłączyli się zgierscy i pabianiccy, którzy nadciągnęli zaraz w kilka godzin po początku rozruchów. Ruszyli się też i chłopi okoliczni, którzy mają w Łodzi krewnych i znajomych. Słysząc, że „nasi biją“, a to znów że „naszych biją moskale“, a to, że żydzi, a to że burzą moskale kościoły, gromada za gromadą szła z widłami, cepami, z czem kto mógł. Ale już ich wojsko nie przepuściło. Brano tylko grzecznie po kilkunastu, wprowadzano do miasta i pokazywano, że kościoły stoją nienaruszone, o czem oni świadczyli pozostałym; uspokojone, gromady wracały do domów.

Długo jeszcze trwało wrzenie w Łodzi; lecz później masy opanowało długotrwałe zniechęcenie.

Ł.

WSPOMNIENIA Z DWÓCH LAT

(1892 — 1893)

Po licznych aresztowaniach w listopadzie 1891 r. w ściślejszej organizacyi „Związku“ pozostało zaledwie kilka jednostek. O utrzymaniu licznych stosunków robotniczych mowy być nie mogło. Ogół członków „Kasy Oporu“, kierowanej dotychczas przez Związkowców, przeszedł do „Proletaryatu“. Pozostali związkowcy głównie zajęci byli ratowaniem tego, co się dało, zmianą programu, niesieniem pomocy więźniom (w tem ostatniem znaczny, można powiedzieć, przeważny udział brali ówcześni narodowcy). „Proletaryat“ znacznie wzmógł się, lecz wskutek nieostrożnego brawowania wkrótce doczekał się pogromu; olbrzymie aresztowania w marcu 1892 r. rozbiły i tę organizacyę: zostało po niej, jak i po

związkowej, kilka jednostek, których główną czynnością na razie było skupianie rozbitków. Trzecia organizacya, „Zjednoczenie“, nieliczna wprawdzie (odznaczyła się przeprowadzeniem masowego ruchu wśród mularzy i piwowarów), ocalała podczas tych pogromów.

„Związek“, któremu przyznać należy wielkie zasługi w rozbudzaniu wśród robotników świadomości ich klasowego położenia pod względem ekonomicznym, — działał nawpół legalnie. Wychodził z zasady : o ile robotnicy będą dobijać się poprawy swego losu — skrócenia dnia roboczego i podwyższenia płacy — o tyle rząd na ruch ich, skierowany wyłącznie przeciw kapitalistom-wyzyskiwaczom, będzie patrzył przez szpary, innemi słowy : strejki, kasy oporu, związki fachowe bez dążności politycznych będą przez rząd tolerowane. Szerzenie tego optymistycznego poglądu na stosunek rządu rosyjskiego do „ekonomicznego“ ucisku robotniczego było największym błędem „Związku“. Pogląd ten tak wżarł się w umysły, i to nawet wybitnych pod innymi względami robotników — związkowców, że i po aresztowaniach listopadowych jeszcze przez długi czas dowodzili, iż przy obecnym rządzie można wywalczyć nietylko 8-godzinny dzień roboczy, ale nawet urzeczywistnić wiele innych punktów programu socyalistycznego, które w żadnym razie z rządem tym pogodzić się nie dadzą (np. wywłaszczenie fabrykantów na korzyść pracującej ludności itp.).

Dla większości pozostałych członków organizacyi związkowej było jasnem, że nadal trzymać się starego programu niepodobna. Rozpoczęły się zebrania i narady bez końca: roztrząsano punkt po punkcie kwestye programowe, — i o ile się one tyczyły strony ekonomicznej, o tyle prędko zostały wyjaśnione, przedyskutowane i przyjęte, o ile zaś chodziło o agitacyę polityczną — głosy były podzielone, każdy obstawał przy swojem, i pomimo ciągłych zebrań i dyskusyi, sprawa ta prawie się nie posuwała. Inaczej być nie mogło: w poprzedniej robocie ta, tak ważna, kwestya była traktowana po macoszemu, uczestnicy zebrań nie mieli o niej jasnego pojęcia, wciąż więc posługiwali się ogólnikami, a te, rzecz prosta, nikogo niczego nie nauczyły. Należy jednak zaznaczyć, jako pocieszający objaw, przebudzenie się poczucia konieczności walki politycznej, wysunięcia jej jeżeli nie na pierwsze, to w każdym razie na równoległe miejsce z walką z wyzyskiem i uciskiem ekonomicznym.

Dawne drogi były zdyskredytowane, znaleść nowe zawsze jest trudno; dobre więc i to, że zaczęto ich szukać. Zanimby jednak je znaleziono, — postanowiono pilnie zważać na stosunek rządu do robotników i korzystać z każdego jego kroku dla wykazania, iż stoi on po stronie dla nich wrogiej, że zatem robotnicy nie tylko nie powinni liczyć na pomoc rządu w walce z wyzyskiem, lecz przeciwnie uważać rząd za głównego swego wroga, zawsze gotowego popierać wszelkimi środkami wyzyskiwaczy. W tym też duchu związkowcy zaczęli działać. Zmiana kierunku ujawniła się w ustnej agitacyi, w hektografowanej odezwie z powodu zaprowadzenia książeczek robotniczych obrachunkowych i w odezwie majowej 1892 r.

Parę słów o tej ostatniej. Rękopis zawiózł do drukowania jeden z towarzyszy do Berlina. Tam, po porozumieniu się z paru dawnymi związkowcami, zmienił nieco tekst, silniej, niż było w rękopisie, wyrażając wezwanie do walki z caratem. Wskutek tego powstały w krajowej organizacyi pewne niesnaski; jedni byli niezadowoleni ze zmiany tekstu, inni znów z tego, że nie dano im rękopisu tej odezwy do czytania przed wysłaniem do Berlina. Wogóle jednak pomiędzy „inteligentami“ z organizacyi odezwa ta zrobiła dobre wrażenie, nie tak było wśród robotników; niektórzy np. — i to dość liczni — odzywali się w ten sposób: mieliśmy iść na majówkę (1 maj wypadał w niedzielę), lecz, ponieważ w odezwie tak ostro wystąpiono przeciw rządowi, to i sami nie pójdziemy i innych od tego odmawiać będziemy!.. Innym znowu nie podobało się zaznaczenie w odezwie tego, że wyzysk fabrykantów zmusza robotnice do sprzedawania

własnego ciała. Pnnkt ten posłużył za powód do nieprzyjęcia tej odezwy przez robotników ze „Zjednoczenia“.

Towarzysz, który jeździł z odezwą do Berlina, wrócił przekonany przez tamtejszych towarzyszy o potrzebie uwzględnienia w programie socyalistycznym walki z uciskiem narodowościowym. Potrzebę tę uzasadnił w dość obszernym referacie, odczytanym na zebraniu organizacyjnem. Referat ten nie został uwzględniony z obawy zatarcia przed ogółem robotniczym wybitnych oznak różnicy socyalistycznej partyi od innych (np. narodowców, patryotów demokratów itp.) Poważniejszych zarzutów nie stawiano.

Bądź co bądź kwestya narodowościowa została poruszona. Wspaniały ruch majowy łódzki i krwawe jego zakończenie przekonały wahających się jeszcze towarzyszy o konieczności jaknajszerszego uwzględnienia walki politycznej. W tym czasie kilku robotników zdobyło sobie małą ręczną drukarnię i na niej w lipcu odbiło odezwę z powodu ruchu łódzkiego. Odezwę tę pisali sami robotnicy związkowcy, jest więc ona ważnym dowodem, o ile w ciągu kilku miesięcy zmieniły się ich poglądy na walkę z rządem.

Po majowych zajściach w Łodzi doszła do nas broszura Zborowicza: „Przyczynek do programu socyalnych demokratów polskich“. Poruszała ona braki agitacyi związkowców i domagała się uwzględnienia walki z uciskiem narodowościowym. Chociaż ten i ów towarzysz zgadzał się na niektóre wnioski, wogóle jednak czuć było pewne wahanie się w całkowitem ich aprobowaniu i, co za tem idzie, w programowem ich przeprowadzeniu.

W tym czasie wypuszczono część związkowców z cytadeli. Jeden z nich — wraz z towarzyszem, przybyłym z zagranicy — zwołali zebranie i na niem domagali się przeprowadzenia reform w samej partyi, a mianowicie: odsunięcia zupełnego organizacyi kobiecej (jako mało konspiracyjnej), wprowadzenia jaknajwiększego rygoru partyjnego, zwłaszcza co do konspiracyi, wreszcie poruszono sprawę wejścia w stosunki z socyalistycznemi organizacyami w Rosyi i z emigracyą. Co do tej ostatniej stanęło na tem, że w sprawach miejscowych organizacya krajowa ma zupełną samodzielność, a zagraniczna organizacya, która miała się dopiero wytworzyć, mieć będzie zupełną autonomię po za krajem: zagranica będzie dostarczać potrzebnych broszur, kraj zaś korespondencyi w razie, gdyby zagranica zdobyła się na własne pismo. Wogóle stosunek nasz do tej mającej się sformować organizacyi zagranicą był ogólnikowo tylko omówiony i prawie do niczego nie zobowiązywał.

W kraju stosunki coraz badziej się rozgałęziały, liczba kółek zwiększała się, szybkie rozchodzenie się wydawnictw wskazywało na zainteresowanie się sprawą. Można by było stworzyć poważniejszą organizacyę, gdyby nie brak inteligentów-agitatorów. Aby temu zaradzić, utworzyliśmy kółko przygotowujących się do agitacyi wśród robotników. Zebrania poświęcone były zaznajamianiu sie z warunkami działalności u nas: położenie robotników i różne formy wyzysku, prawodawstwo fabryczne, nadużycia, wskazówki konspiracyjne, jak się zachowywać w cytadeli itp. Członków tego kółka było 7. Była nadzieja, że za parę miesięcy kilku z nich weźmie się do roboty, prócz tego liczyliśmy na przypływ nowych sił z uniwersytetów.

Plan organizacyi robotniczej był nakreślony jeszcze przez Związek; mieliśmy zamiar wprowadzić go w życie, odpowiednio zmodyfikowawszy; na razie jednak postanowiliśmy czekać na zwiększenie się liczby inteligentów-agitatorów. Nim zaś to miało nastąpić, postanowiliśmy wpływać jaknajsilniej na tworzenie się kółek samokształcenia; prowadzić je mieli bardziej wyrobieni robotnicy, z nimi miewaliby zebrania inteligenci i dostarczaliby im hektografowanych odczytów. Brak czasu, ciągła potrzeba być na zebraniu to tu, to tam przy nawale innych zajęć, przyczyniała się do zwłoki w urzeczywistnianiu tego planu. Kółka takie jednak powstawały i niezależnie od nas — objaw to zresztą nie jedyny rozwija-

jącej się samodzielności robotników. Tak np. jeden z rzemieślników, chłopak młody, po aresztowaniach związkowców i proletaryatczyków zaczął zbierać rozproszonych robotników i tworzyć z nich kółka samokształcenia: każde kółko miało swego przedstawiciela, którego obowiązkiem było wyszukać mieszkanie na zebrania, odbywające się co tydzień, zbierać składki od członków (6—7 w każdem kółku) po 5 kop. tygodniowo od każdego i prowadzić zebrania. Przedstawiciele raz na miesiąc mieli swoje zebrania, na których zdawali sprawę z przebiegu zajęć w kółkach, naradzali się nad kupnem książek z uzbieranych pieniędzy, w razie strejku zarządzali składki nadzwyczajne pomiędzy sobą i w warsztatach, gdzie pracowali. Każdy członek, jeżeli miał jakiego nowego kandydata do kółka, mówił o tem swemu starszemu; gdy kandydatów takich nazbierało się 6—7 tworzono nowe kółko. W zasadzie członkowie kółek oddzielnych nie powinni byli wzajemnie o sobie wiedzieć, w rzeczywistości jednak znali się. W chwili, gdy zetknęliśmy się z tą samodzielnie powstałą organizacyą, było w niej członków około 60, wśród nich wielu ludzi już niezbyt młodych, po 40 i więcej lat liczących. Z zakupionych przez nich książek i z rozmów z nimi przekonaliśmy się, że zajmują ich niezmiernie książki treści przyrodniczej. Nie zmieniając regulaminu, przyjętego w tych kółkach, pomogliśmy im w prowadzeniu wykładów i w dostarczaniu broszur nielegalnych. Ze względów konspiracyjnych nie łączyliśmy ani zaznajamialiśmy członków tej organizacyi z członkami innych, nielicznych zresztą kółek. Stało się bardzo szczęśliwie, bo w organizacyę tę wkręcił się już prowokator Sidorek i ostatecznie ją rozbił w czerwcu 1893 roku.

W jesieni 1892 r. utworzył się jakby komitet Centralny, złożony z 3 inteligentów i 3 robotników. Wszelkie ważniejsze sprawy miały być wspólnie rozstrzygane (kwestye programowe, wydanie odezwy, broszury itp.). W razie aresztowania członka tej centralnej organizacyi pozostali wybierali sobie nowego — tak jednak, że robotnicy wybierali sobie robotnika, inteligenci — inteligenta; po wyborze zaś wszyscy członkowie zaznajamiali się z nowowybranym. Wszyscy 6-iu obowiązani byli do zachowywania w jaknajściślejszej tajemnicy tego, co się dzieje pomiędzy nimi.

Pod koniec 1892 r. otrzymaliśmy uchwały zjazdu paryskiego. W zasadzie nie mieliśmy nic do zarzucenia nowemu programowi, przewidywaliśmy tylko trudności wprowadzenia go w życie. Głównie obawialiśmy się stracić odrębność, widoczną nawet dla mało uświadomionych robotników. Bądź co bądź, podczas gdy „referat“ i „Przyczynek“ przeszły bez odbicia się na programie, z uchwałą odrazu zaczęto się liczyć, odkładając ostateczne opracowanie jej w formie programu do czasu otrzymania z zagranicy obszerniejszego wstępu, mającego wyjaśnić treść samej uchwały zjazdu (wstęp ten później został wydrukowany w Nr. 5 „Przedświtu“ z 1893 r. jako szkic programu).

Oprócz nadziei pogłębienia i rozszerzenia ruchu na przyjęcie uchwały paryskiej wpłynęła i ta okoliczność, że w razie ustania rozterek wytworzyłaby się zagranicą silna organizacya, która by dostarczaniem transportów i szybkiem wykonywaniem druków zamawianych z kraju – mogła oddać znaczne usługi ruchowi. Nie bez wpływu też było i pewne znużenie psychiczne, wywołane ciągłemi jałowemi dyskusyami o politycznej stronie programu.

O zjeździe w Paryżu i jego uchwałach rozeszły się wieści wśród wypuszczonych w tym czasie związkowców. Zaczęły kursować niemożliwe plotki. Zmianę programu nazywano, „zdradą sztandaru“, „zabagnieniem socyalizmu“, „zapożyczaniem dla wzniosłej i świętej idei blasku od patryotyzmu“, deklamowano na temat „O doświadczenie, ty jesteś puklerzem“ itp. Niektórzy bardzo nieliczni wprawdzie, zaczęli podburzać przeciw organizacyi naszej robotników, głosili nawet, że robotnicy już nas opuścili, co było fałszem, bo w owym czasie coraz bardziej wzrastaliśmy w liczbę członków.

Nastrój pomiędzy robotnikami stawał się coraz bardziej pojednawczym, kłótnie całkowicie zamilkły — chciano zgody. Nic też dziwnego, że wyszła z zagranicy propozycya złączenia się związkowców i proletaryatczyków została odrazu chętnie przyjętą. Było w tym celu zwołane zebranie robotników — proletaryatczyków *). Na zebranie to organizatorowie wezwali dwóch związkowców. Wszyscy oświadczyli się za połączeniem, związkowcy z zastrzeżeniem, że, ponieważ przybyli w charakterze gości, więc nie mogą zobowiązywać się w imieniu swych towarzyszy, z którymi muszą wpierw skomunikować się. Projektowane ogólne zebranie robotników proletaryatczyków i związkowców nie doszło do skutku, natomiast dopytywano każdego z głównych agitatorów związkowców o zdanie względem zlania się z proletaryatczykami i przyjęcia nazwy: „Polska Partya Socyalistyczna“ — oponentów nie było. W ten sposób powstała dzisiejsza P. P. S. Stało się to w lutym 1893 roku.

Dalej postanowiono wejść w porozumienie z narodowcami. Na odbytem w tym celu zebraniu uchwalono wytworzyć „tymczasowy komitet mięszany“ dla przekonania się, o ile będziemy mogli pracować razem z nimi; obowiązkiem obu stron było wzajemne komunikowanie sobie o wszelkich ważniejszych wystąpieniach. Zaznaczam, że opozycya jednej strony nie mogła powstrzymywać od zamierzonego kroku — drugiej strony, bo chodziło nie o wspólne decydowanie, lecz tylko o poznanie się wzajemne; a po jakim pół roku miano albo rozejść się albo też połączyć się zupełnie.

Na udzielone wiadomości o zamiarze połączenia się z proletaryatczykami i zbliżenia z narodowcami robotnicy z kółka centralnego wyrazili swą zgodę. Przytoczę dosłownie wyrażenie się jednego z nich: „No, no, jak się tak wszyscy połączymy, ładna wytworzy się partya i środki nasze powiększą się; będziemy może mogli zdobyć się na swoje pismo; robota lepiej pójdzie. Abyśmy tylko sami nie stali się narodowcami“. Wyjaśniłem, jaki charakter ma nasz stosunek z narodowcami, że teraz zbliżamy się do nich w celu wzajemnego poznania się, a z czasem, jeśli i nie połączymy się, to przynajmniej żreć się między sobą nie będziemy, a już to samo będzie miało dobre następstwa. O zamiarze obchodu rocznicy kościuszkowskiej też była między nami mowa, ale wobec tego, że do rocznicy tej było daleko, a spraw do załatwienia mieliśmy nie mało, — w szczegóły, jak ją obchodzić, nie wdawaliśmy się. Po za tem parę razy otrzymałem niespokojne zapytania robotników, czy to prawda, że przyjęliśmy program patryotyczny? Odpowiedziałem, że o wszystkiem, co dotąd zaszło, wiedzą, a i w przyszłości zawsze wspólnie naradzać się będziemy. Przytaczali mi różne krążące po mieście plotki, lecz zawsze uspakajali się, skoro przedstawiłem dowody, że tak nie jest. Przyczyną zaniepokojenia wśród robotników była ta okoliczność, że paru wypuszczonych z X-go pawilonu związkowców gwałtownie napadało na zmiany programowe i łączenie się z narodowcami, a ponieważ szerszy ogół ze względów konspiracyjnych nie mógł być o wszystkiem powiadomiony, więc pole do domysłów i tworzenia plotek było olbrzymie. Pomimo to robota szła coraz lepiej dzięki znacznemu dopływowi broszur z zagranicy i zwiększaniu się liczby kółek.

Zamierzone przez rząd wprowadzenie bardzo niekorzystnych dla robotników kas oszczędności wywołało agitacyę przeciw nim: nastrój wśród robotników był bardzo dobry, powszechnie odgrażano się, że na nie nie zgodzą się. Z powodu wstrętnej broszury Wicherkiewicza, rozpowszechnianej bezpłatnie przez fabrykantów i majstrów, partya wydała „Odprawę“ (wierszem). W wierszu tym wyk-

*) Dla ścisłości dodać muszę, że uchwały zjazdu paryskiego były przedtem przedstawione pozostałym w kraju inteligentom z „Proletaryatu“ (notabene, ludziom, którzy w agitacyi wśród robotników bardzo mały udział brali) — odrzucili je.

piono Bibikowa, Klejgelsa itp. nieproszonych pseudo-opiekunów. „Odprawa“ pomiędzy robotnikami była rozchwytana, uczono się jej na pamięć i przez czas jakiś ciągle o niej rozprawiano. Całkiem inaczej zapatrywali się inteligenci: jednym nie podobał się sposób wyrażania o Wicherkiewicza, inni potępiali całą treść i formę humorystyczną, jeszcze inni ganili takie wyrażenia, jak „drgnęły łydy“, „spluń w garść“ itp. Słowem, o ile wśród robotników zachwycano się odprawą, o tyle wśród inteligentów oburzano się na nią. Podług mnie „Odprawa“ nie przeszła bez wpływu i partya zamierzonego celu dosięgła: zdyskredytowała broszurę Wicherkiewicza i wstrętne a reklamowane w pismach przytułki klejgelsowskie, a niejednego pisarka będzie długo powstrzymywać od sprzedawania swego pióra fabrykantom.

Najwięcej jednak krzyku pomiędzy związkowcami, wypuszczonymi z cytadeli, narobiła broszura majowa 1893 r. Sprawa tak się miała: partya upoważniła jednego z towarzyszy zagranicznych do napisania broszury majowej. W kwietniu przyszły 2 czy 3 jej egzemplarze. Jeden z tych egzemplarzy był odczytany w kółku centralnem: wrażenie ogólne było dobre i, gdyby nie kilka wyrażeń niewłaściwych w broszurze socyalistycznej („bydło prawosławne“ itp.), niezawodnie była by przyjęta; wobec tego jednak uradzono odrzucić ją, a że na wydanie nowej nie było czasu, postanowiono na 1 maja wydać tylko odezwę. Gdy nadszedł transport z broszurą, nie przyjęliśmy go; zabrali go narodowcy (podobno kilka czy kilkanaście egzemplarzy dali robotnikom ze swych kółek i to już po maju). Z powodu tej broszury zaczęły krążyć niczem nieuzasadnione plotki; podawano np. za fakt, że broszurę spalono, że robotnicy zerwali z inteligencyą P. P. S. itp. — i to akurat w tym czasie, kiedy nie tylko żaden robotnik od partyi nie odłączył się, ale przeciwnie kółka mnożyły się z dnia na dzień. Plotki te, często w dobrej wierze przez nieświadomych rzeczy powtarzane, zmusiły partyę do wystąpienia z wyjaśnieniami: robotnikom w kółkach i pojedyńczo tłómaczono, jak się rzecz miała z broszurą; wpłynęło to na ich uspokojenie, zresztą zaufanie ich do P. P. S. nie zostało zachwiane pomimo fałszywych zarzutów i plotek. Za to wśród inteligentów, którzy dawniej brali udział w ruchu, niezadowolenie ze zmian programowych wzrastało i wyrażało się w różnych pogłoskach: opowiadano, że patryotnicy i narodowcy chełpią się, że zawładnęli w kraju kierownictwem całego ruchu robotniczego, że dawniejsi proletaryatczycy spatryotniczeli do tego stopnia, że niektórzy z nich ubierają się w kontusze (wymieniano Mendelsona) i t. p. brednie.

Odezwa majowa, wydana w kraju, zbyt mało wyrażała zaszłe zmiany programowe, ale bo też i niewiele upłynęło czasu od zmiany, by mogła ona przejść „w krew i ciało“. Wśród robotników odezwa była przyjęta przychylnie. Że nie była w niej zaznaczona wyraźnie odrębność od dawniejszego kierunku „Związku“ i „Proletaryatu“ — to racya, ale pytanie, czy mogło być inaczej. Program nowy nie był jeszcze nawet wydrukowany, na koniec czerwca zapowiedziany był zjazd w kraju, na którym różne programowe kwestye miały być ostatecznie rozstrzygnięte i omówiony stosunek do narodowców. Jednem słowem, był to okres przejściowy — reformę można było i należało przeprowadzić stopniowo, ale nie odrazu. Cały program miał być wyjaśniony w specyalnej broszurze, prócz tego ustnie na zebraniach i w kółkach. Wszak główni agitatorowie bardziej niż inni robotnicy byli przesiąknięci tradycyami „Związku“ lub „Proletaryatu“, a choć odczuwali potrzebę zmiany, odrazu nie mogli zrozumieć nowego programu w całym jego zakresie. Zresztą i agitatorowie-inteligenci, postawieni w ówczesne zawikłane stosunki, działali chwiejnie; i nic w tem dziwnego: ile uprzedzeń, jakie sekciarskie zacietrzewienie się mieli do zwalczenia i wykorzenienia! Chwila była taka, że należało wprowadzać w życie to tylko, co zostało już dostatecznie wyjaśnione. Przy bardzo ograniczonej liczbie agitatorów-inteligentów agitacya ustna była niewystarczająca, to też niecierpliwie oczekiwaliśmy chwili, kiedy

można będzie mieć pismo w kraju (spodziewaliśmy się, że stanie się to w sierpniu 1893 r.)

Majowa odezwa obudziła niezadowolenie wśród narodowców. Sprawa tak się miała: nasza ręczna drukarnia nie pozwalała na prędkie odbicie odezwy (na odbicie potrzebnej ilości trzeba było z tydzień czasu), a tu należało się śpieszyć, by i na prowincyę dostarczyć przed 1-ym. Z paru napisanych odezw przez kółko centralne była przyjęta jedna, którą dla przeczytania i wypowiedzenia o niej zdania dano narodowcom; ci napisali swoją, z głównym naciskiem na ucisk narodowościowy i konieczność łączenia się wszystkich trzech zaborów. Treść odezwy nie była dostępna dla przeciętnych robotników, przenośnie mogły być zrozumiałemi tylko zupełnie wyrobionym: kółko centralne odrzuciło ją zapożyczywszy z niej kilka wyrażeń do swojej odezwy, którą też zaraz oddano do druku, bo na zebrania i dyskusye nie było już czasu, zresztą tymczasowy komitet mięszany, jak to wyżej wymieniłem, był utworzony nie dla kierowania działalnością i stosować się do zdania strony przeciwnej nie byliśmy obowiązani. Narodowcy byli z tego niezadowoleni. Wprawdzie inteligenci-narodowcy chcieli pomagać w prowadzeniu przedmajowej agitacyi, lecz wobec tego, że byli to ludzie nieobeznani jeszcze z taką robotą, z propozycyi ich nie skorzystaliśmy — tembardziej, że każdy fałszywy krok mógł budzić nieuzasadnione pogłoski; większości narodowców nie znaliśmy, woleliśmy więc jakoś o własnych siłach wszystko załatwić.

Centralne kółko robotnicze o tem, co się robiło do końca czerwca, wiedziało i wszystko aprobowało; ciągle jednak trzeba było zwalczać plotki i rodzące się z nich obawy, aby partya niespatryotniczała. Żadnego ważniejszego kroku nie przedsiębrano bez narady z trzema robotnikami kółka centralnego (jednego często nie było na zebraniach, ale pozostali dwaj zawiadamiali go) — to też najgłówniejszą burzę, spowodowaną majową broszurą, rozproszono bez trudu; pomogła ona nawet do podkopania wiary w inne tego rodzaju pogłoski i zarzuty.

W czerwcu przyjechał do Warszawy jeden z towarzyszy z prowincyi; nasłuchawszy się plotek, wystąpił z odczytem na jednej z zamiejskich wycieczek. Napadł na P. P. S. za to, że zlała się z narodowcami, patryotnikami, antysemitami, że wydała patryotniczą broszurę, którą robotnicy niby palili (sam referent nb. jej nie czytał), kpił z „nowego kursu", ubolewał nad rozłamem, który niby to nastąpił między inteligentami i robotnikami z P. P. S., piętnował zdradę sztandaru, zabagnianie programu i t. d. i t. d. Towarzysza tego nie trudno było na zasadzie faktów przekonać o tem, że uwierzył plotkom, wskutek czego oświadczył, że niektóre zarzuty cofa i przeprasza.

Wogóle w tym czasie namiętne napaści na P. P. S. zaczęły słabnąć, najbardziej zapaleni przeciwnicy, widząc, że złowróżbne przepowiednie ich dla socyalizmu u nas nie sprawdzają się, zaniechali prawie kontragitacyi, która zresztą partyi prócz pewnej nieprodukcyjnej straty czasu na zbijanie bezzasadnych zarzutów — innych szkód nie przynosiła. Dopiero po aresztowaniach czerwcowych i usunięciu się od roboty jednych, a przekonspirowaniu innych — otworzyło się łatwe pole dla destrukcyjnych usiłowań ludzi, którzy świadomie czy też nieświadomie dążyli do obalenia P. P. S., a z nią — z takim trudem osiągniętej jedności organizacyjnej. Nieporozumienia nie tak łatwo już było usuwać w chaosie, spowodowanym aresztowaniami czerwcowemi; doprowadziły one w końcu do rozłamu, z którego w sierpniu 1893 r. wyłoniła się „Socyaldemokracya Królestwa Polskiego. A potem trzeba było aż dwóch lat czasu dla wyjaśnienia nieporozumień i zlania się „Socyaldemokracyi" z P. P. S.

sp.

S. D. K. P.

I.

Projekty.

„Linoleum, łaskawa pani, prosto z Rygi, tutaj tego nie znają.... O nie, to nie cerata, będzie służyć dwa lata, a później będzie jeszcze z tego doskonała ścierka — jak się zeskrobie.... W kratki, w kółka, w linijki, rozmaite desenie i kolory. Linoleum!“ — zachwalał jakiś głos na podwórzu pod oknami „Chambres Garnies“, znanych wszystkim wychowańcom „budy“ dąbrowskiej. Podniosłem się z nad rajzbretu i zbliżyłem do okna: ciekaw byłem zobaczyć faceta, który myślał, że utarguje cokolwiek od bab w dwa tygodnie po wypłacie w Hucie Bankowej, a przytem zdawało mi się, że w głosie, zachwalającym linoleum, drgają jakieś znajome tony. Spostrzegłem młodego jegomościa średniego wzrostu, trzymającego w ręku pęk próbek, któremu właśnie w tej chwili gospodyni wskazywała na stojącą pod murem miotłę; ten giest podziałał widocznie na ajenta, gdyż zawrócił się na pięcie i, wzniósłszy twarz ku niebu, jakby wzywając stamtąd opieki lub miłosierdzia, ruszył szybko ku ulicy. Z najwyższem zdziwieniem poznałem w odchodzącym „Czarnego“.

Widziałem go poprzednio raz tylko jeden — w Warszawie. Lecz płomienne czarne oczy i smagła, nadzwyczaj sympatyczna twarz, wraziła mi się dobrze w pamięć.

Wybiegłem na ganek i po chwili dopędziłem odchodzącego. Już od dwóch miesięcy niecierpliwie oczekiwaliśmy zapowiedzianego transportu broszur i gazet; więc, ominąwszy powitanie, zacząłem odrazu od pytań i pretensyi. „Czarny“, zawróciwszy do mego mieszkania, żywo odpowiadał: towarzysza, który poprzednio utrzymywał stosunki z Dąbrową, wzięto kilka tygodni temu wraz z kilku innymi; szczęściem, transportu, idącego z zagranicy, nie nakryto, gdyż szwarcownik, który wydał naszych w ręce żandarmów, omylił się w swych informacyach o kilka godzin i bibuła już pojechała dalej.

Tak rozmawiając, przyszliśmy do domu.

Wskutek tych aresztowań — mówił dalej „Czarny“, rzucając próbki linoleum w kąt i rozglądając się po książkach i rysunkach zdobiących ściany — dyabli wzięli część adresów prowincyonalnych i jakiś czas stosunki te były przerwane. Teraz ponawiązywaliśmy je nanowo. Najgorzej było tutaj, z waszą dziurą: nikt z pozostałych w Warszawie nie znał ani jednego adresu, ani jednego nazwiska. Ja, co prawda, widziałem Was — zwrócił się do mnie — ale nie miałem pojęcia, jak się nazywacie, ani nawet — co robicie. Ba, żebym choć to wiedział: przyjechawszy tutaj, poszedłbym jak w dym do budy na wykłady i tam bez żadnego zachodu odrazu was znalazł; obyłoby się bez tych szopek z linoleum; człek był jak tabaka w rogu, więc ruszył po rozum do głowy: wziąłem moc próbek tego świństwa i dziś rano wyjechałem wiedeńską; po drodze, w wagonie, wprawiałem się w udawanie komiwojażera: zawracałem nawet głowę jakiemuś wachmistrzowi żandarmskiemu, który wysiadł w Częstochowie — nie chciał, bestya, nic obstalować. Nimem tu dojechał, tak się wprawiłem w to ceratowe pyskowanie, jakbym nigdy w życiu nic innego nie robił. Przyjechałem tutaj i zacząłem łazić od domu do domu, zachwalając górniczkom swój towar. Byłem pewny, że przecie muszę się na Was prędzej czy później natknąć. No, i widzicie, mam szczęście: zaledwie przeszedłem jedną ulicę, a jużeśmy się spotkali“.

Podczas opowiadania „Czarny“ wytrząsł z siebie trochę nielegalszczyzny i, zdjąwszy marynarkę, wyciągnął się na łóżku. Zacząłem przeglądać długo oczekiwane nowości; było trochę broszur, wydanych przez „Walkę Klas“, i kilkanaście różnych numerów „Sprawy Robotniczej“.

Po jakimś czasie weszło kilku kolegów; wyprosiwszy część z nich za drzwi, zaczęliśmy znowu rozmowę.

„Czarny“, wypytawszy się szczegółowo o sprawy miejscowe, sam z kolei począł opowiadać o położeniu ruchu w Warszawie i projektach na przyszłość. Robociarzy garnie się huk, kasy oporu w kilku fachach rozwijają się pomyślnie, przydałoby się tylko trochę więcej inteligentów; tych na każdym kroku brak. Ostatnie aresztowania powiększyły jeszcze tę lukę, lecz pozostali nie tracą energii i nadziei na coraz lepszy bieg spraw partyjnych. Jest projekt wydawania pisma partyjnego w kraju, tajnie; drukowałoby się po polsku i po rosyjsku jednocześnie — w dwie szpalty: jedna polska, na drugiej — to samo po rosyjsku; część nakładu mogłaby iść do Rosyi, co niewątpliwie przyczyniłoby się tam do dalszego rozbudzenia ruchu socyalno-demokratycznego; w Królestwie tego rodzaju pismo koniecznie jest potrzebne, a połączenie dwóch języków ostatecznie przyczyni się do wykorzenienia z umysłów ludzkich mrzonek o potrzebie dążenia do niepodległości, tak skrzętnie rozsiewanych przez tych patryotów w socyalistycznej skórze. Prawdopodobnie już niedługo przyjdzie z zagranicy dużo nowych rzeczy, pomiędzy niemi i broszura, specyalnie wykazująca bezsensowność haseł, głoszonych przez P. P. S. Proklamacye, tyczące się spraw miejscowych, zawsze z największą chęcią będą nam na przyszłość drukować; dotychczas nie mogli tego robić zawsze na żądanie z powodu najrozmaitszych trudności, które już są pokonane.

Tego samego dnia wieczorem „Czarny“, wziąwszy swoje próbki, pojechał z powrotem.

* * *

W kilka miesięcy później, gdy „Czarny“ zawitał do nas po raz ostatni, o wydawaniu polsko-rosyjskiego pisma nie było już ani mowy: nowe aresztowania zmiotły prawie wszystkich ruchliwszych towarzyszów i rozwiały wszelkie nasze projekty. O „patryotach w socyalistycznej skórze“ „Czarny“ wyrażał się daleko sympatyczniej. „To od nich ta bibuła“ — mówił, wskazując na przywiezioną sporą paczkę broszur. Przypuszczał, że może nawet nastąpić wkrótce zupełne porozumienie się dwóch partyi.

Niestety, porozumienia takiego nie oglądał. Zato na krótko przed utratą wolności oglądał obszerny list od towarzyszów zagranicznych, w którym tamci, pomiędzy innemi, informowali krajowych działaczów, że „Robotnik“, którego właśnie pojawiły się pierwsze egzemplarze, i proklamacye, wydawane przez t. zw. polską partyę socyalistyczną, drukują się zagranicą, a nie w krajowej drukarni*), jak to owa partya twierdzi. Czy „Czarny“ wierzył temu zapewnieniu — nie wiem.

T. F.

---

*) „Czy robociarze wierzą w to, że Robotnik się wydaje rzeczywiście w Warszawie? bo to jest naturalnie prosty szwindel“ — pisała „Organizacya Sprawy Robotniczej“ w liście, wziętym przez żandarmów podczas rewizyi z 14 na 15 czerwca 1895 r. Kopia tego listu znajduje się w naszem archiwum partyjnem. *Red.*

II.

Wycieczka po „prawdę“

Było to na jesieni r. 1894-go. Tłumy włościan opuszczały gmach „Sokoła“ lwowskiego po skończonym wiecu, zorganizowanym poraz pierwszy na tak wielką skalę przez redakcyę „Przyjaciela Ludu“. Z wielkim trudem wydobyłem się ze zbitej masy kierezyi, sukman, płócienek i kożuchów i stanąłem na uboczu, przyglądając się rozpromienionym, podnieconym twarzom chłopów. Nagle ktoś nieśmiałym giestem dotyka mego łokcia i jednocześnie pyta:

— Proszę pana, gdziebyśmy tu mogli znaleźć pana Daszyńskiego?

Przedemną stało dwoje ludzi o inteligentnych, energicznych twarzach. Nie wiedząc, z kim mam do czynienia, ociągałem się nieco z odpowiedzią.

— Myśmy tu przyjechali z Królestwa, z Dąbrowy Górniczej. Jesteśmy już dwa dni tutaj, ale niemożemy nikogo znaleść....

Przypomniałem sobie, że mi poprzedniego dnia mówił redaktor „Przyjaciela Ludu“ o przyjeździe jakichś robotników-socyalistów z Dąbrowy, którzy u niego zanocowali i mieli być na wiecu chłopskim. Szukałem ich w ciągu dnia, ale w tłumie wiecowników nie mogłem ich rozpoznać.

— A, toście towarzysze z Dąbrowy!... Mówił mi o was Wysłouch, szukałem was nawet, ale nie podobna było znaleść w takim tłoku.

— Tłuczemy się jak grzeszne dusze po piekle. Nocowaliśmy u państwa Wysłouchów, stamtąd posłano nas do „Gwiazdy“, dziś cały dzień byliśmy na wiecu, ale wszędzie jesteśmy jak na niemieckiem kazaniu. Mówiono nam w Dąbrowie, że się tu odbędzie zjazd socyaldemokratów galicyjskich, tymczasem na tym wiecu wcale nic socyalistycznego nie słyszeliśmy....

— No, bo zjazd socyalistyczny odbył się już przed kilkoma tygodniami.

— Tak? A nam mówiono, że to teraz.... Szwarcowaliśmy się przez granicę, chcielibyśmy zobaczyć towarzysza Daszyńskiego.

— Niema go obecnie we Lwowie. No, chodźcie, zaprowadzę was do „Siły“, spotkamy tam kogo z naszych, to pogadamy.... Ale powiedźcie no, dlaczegoście się tak wprost do mnie zwrócili na ulicy? Sądzicie, że tu szpiclów niema?

— Zobaczyłem was i odrazu pomyślałem sobie: ten to pewnie będzie nasz facet — odrzekł starszy, który cały czas prowadził rozmowę ze mną, wówczas kiedy młodszy milczał bez przerwy.

No, nie chciałbym, ażeby żandarmi na granicy byli tegoż samego zdania o mojej powierzchowności — pomyślałem w duchu, bo właśnie zabierałem się do powrotu za kordon.

Skierowaliśmy się do „Siły“. Po drodze z ciekawością rozpytywałem dąbrowiaków o stosunki w Zagłębiu. Mówili mi, że ruch się rozwija, że panuje znaczne ożywienie wśród robotników, ale w żadne szczegóły nie wchodzili. Widziałem wyraźnie, że umyślnie omijają pewne kwestye. Opowiadałem im o kongresie partyi galicyjskiej, o Daszyńskim, o stosunkach miejscowych, o organizacyi i t. d.

W „Sile“ zastaliśmy oprócz kilku robotników tow. Kozakiewicza i Fraenkla Dowiedziawszy się, że mają przed sobą towarzyszy z Królestwa, galicyanie przyjęli ich bardzo serdecznie i rozpoczęła się nieprzymuszona pogawędka. Tow. Fraenkel wkrótce dokądś wyszedł, pozostał tylko Kozakiewicz, który po paru pytaniach wstępnych spytał przybyszów obcesowo:

— Cóż, kręci się tam u was ta „Sprawa Robotnicza“?

— Tak.... to jest.... kręci się.... odpowiedział starszy dąbrowiak, jakoś zmieszany - i odrazu skierował rozmowę na tory stosunków galicyjskich.

Domyśliłem się, że mam przed sobą „Socyaldemokratów Królestwa Polskiego“, co mi trochę zepsuło humor, gdyż świeżo właśnie przyszła do Lwowa paczka NN. „Sprawy Robotniczej“, więc byłem naturalnie niezbyt przyjaźnie usposobiony do całej „organicznie wcielającej się do Rosyi“ partyi.

Wkrótce rozmowa znowu przeszła do stosunków zakordonowych. Kozakiewicz nie szczędził słów nagany dla „Sprawy Robotniczej“ i jej kierunku. Dąbrowiacy milczeli, choć widać było, że ich to traktowanie Socyaldemokracyi Królestwa Polskiego — jeśli nie obrusza, to w każdym razie bardzo dziwi.

— A „Robotnik“, jakże się wam podoba? — zagadnął Kozakiewicz.

— „Robotnik“ — to dobre pismo, wszystkim się podoba — odpowiedział starszy.

— „Robotnika“ i my rozszerzamy — dorzucił młodszy — „Robotnik“ broni naszych spraw robotniczych.

Te oświadczenia zdziwiły mię niepomału. Wyobrażałem sobie „socyaldemokratów“, a zwłaszcza „socyaldemokratów“-robotników jako nieprzejednanych wrogów P. P. S. Tymczasem oni chwalą organ tej partyi, co było dla mnie wręcz niezrozumiałem.

Wkrótce Kozakiewicz wyszedł, pogawędziliśmy jeszcze z pół godziny i wyruszyliśmy do domu, do mojego studenckiego pokoiku, gdzie przy herbatce zapanował nastrój serdeczny, usposabiający do otwartości. Moim gościom rozwiązały się języki. I młodszy, pozostający, jak widziałem, pod silnym wpływem starszego, przerwał swe milczenie.

Należeli istotnie do S. D. K. P., ale w żaden sposób nie mogłem doszukać się w nich zacietrzewienia na punkcie różnic partyjnych, które — mojem zdaniem — były nieodłączną cechą każdego S. D. Natomiast zaimponowali mi swoją inteligencyą i rozgarnięciem. Starszy z dąbrowiaków, który należał niegdyś do „Proletaryatu“, był człowiekiem bardzo oczytanym — i to nie tylko w bibule agitacyjnej, ale i w bieżącej legalnej publicystyce jak również i literaturze beletrystycznej. Opowiadali mi o biblioteczkach, zakładanych wśród chłopów w Zagłębiu, o agitacyi wśród górników, o przyszłych planach i nadziejach. Wymienili mi nawet swe prawdziwe nazwiska. Umyślnie omijałem drażniące punkty programu, nie chcąc psuć harmonii, jaka zapanowała pomiędzy nami. W końcu wyniosłem się, ponieważ moje apartamenta trzem osobom w żaden sposób nie mogły udzielać noclegu.

Wychodząc zostawiłem na stole kupę bibuły, do której przed snem zabrali się dąbrowiacy.

Nazajutrz rano, zaraz po śniadaniu, wybraliśmy się na cmentarz Łyczakowski w celu obejrzenia świeżo wystawionego przez partyę socyalistyczną pomnika twórcy „Czerwonego Sztandaru“.

W drodze znowu wróciliśmy do spraw Królestwa.

Dąbrowiacy dopytywali się, jak przedstawiam sobie dążność do niepodległości w programie socyalistycznym, co myślę o powstaniu, o konstytucyi rosyjskiej itd. Tłómaczyłem to wszystko jak mogłem, zbijając ich argumenty. Ostatecznie godzili się na to, że program P. P. S. ma w sobie dużo słuszności. Najbardziej ich interesowała kwestya, z kim solidaryzuje się partya galicyjska i Daszyński — czy z S. D. K. P. czy z P. P. S.

— Nazywa się przecież „Socyaldemokratyczną“, a nie „socyalistyczną“, jak P. P. S. mówił starszy dąbrowiak, a tu tymczasem Daszyński w swej broszurze „Krótka historya“ mówi, że socyaliści polscy będą się bili o niepodległość itd. — więc solidaryzuje się nie z S. D. K. P., ale z P. P. S. Cóż to znaczy?

Znowu tłómaczyłem im jak mogłem. W końcu mój interlokutor zakomunikował mi, jak gdyby zrzucając ciężar z plec, po co właściwie przekradli się do Galicyi.

Przyjechali tu, ażeby nareszcie „dowiedzieć się prawdy“. Od swoich przywódców-inteligentów słyszeli wciąż same oskarżenia P. P. S. o socyalpatryotyzm, o zdradę sztandaru robotniczego, słyszeli o tem, że z P. P. S. nie solidaryzuje się ani organizacya polska zaboru pruskiego, ani partya galicyjska itd. Z drugiej strony bibuła ppsowa, a zwłaszcza „Robotnik“ podobał się im ogromnie. Wobec tych dręczących ich wątpliwości postanowili przedostać się do Galicyi i tu „dowiedzieć się prawdy“.

Tegoż dnia musieli powracać. Dałem im na drogę trochę bibuły, między innem kilkanaście egzemplarzy „Krótkiej historyi“ Daszyńskiego, głównie ze względu na dodatek o „niezależnych“ lwowskich, których taktyka względem partyi galicyjskiej przedstawiała dużo analogicznego z napaściami „Sprawy Robotniczej“ na P. P. S. Pożegnaliśmy się bardzo serdecznie, jak przyjaciele wieloletni...

* * *

Zczasem dowiedziałem się, że starszy dąbrowiak, mój znajomy ze Lwowa, był jednym z inicyatorów przyłączenia się całej organizacyi dąbrowskiej S. D. K. P. do P. P. S.

St. Os...arz.

III.

Ostatni zjazd.

W pierwszej połowie miesiąca czerwca r. 1895-go odbył się w Warszawie zjazd delegatów Socyalnej Demokracyi Królestwa Polskiego. W zjeździe tym uczestniczyło pięciu przedstawicieli — czterech z Warszawy i jeden z prowincyi.

Posiedzenie otworzył O-wski słowami: „Towarzysze, zaczynamy posiedzenie, lecz pamiętajcie, że dla zdrajców mamy sztylety!“

U części delegatów takie zagajenie zjazdu wywołało na twarzach widoczne zdziwienie, inni przyjęli to zupełnie obojętnie; tylko jeden z obecnych tak przeraził się i przejął groźbą, że odruchem całego ciała i gwałtowną zmianą wyrazu twarzy wywołał ogólną wesołość i wielkie zadowolenie O-wskiego. Jak się później dowiedziałem, ów młody towarzysz znalazł się tylko przypadkowo w mieszkaniu, gdzie się miały odbywać narady zjazdu. Ponieważ był „porządnym facetem, tylko mało wyrobionym“ i przytem jakoś niewypadało go usuwać, więc przewodniczący uznał za wystarczające rzucić nań postrach (co, jak było widać z rezultatu, w zupełności mu się udało) i w ten sposób uczynić jego obecność nieszkodliwą.

Obrady odbywały się w sposób familijny. Na pierwszy punkt wysunęła się kwestya sprawozdania z ubiegłego święta majowego. Okazało się, że co do Warszawy, to O-wski je już napisał. Odczytał więc to sprawozdanie na głos. Było napisane bardzo rewolucyjnie. Takie wyrazy, jak „rewolucya“, „krwawica“ w różnych przypadkach — powtarzały się prawie w każdym wierszu. Kiedy skończył, nastąpiło ogólne kłopotliwe milczenie, gdyż z jednej strony artykuł nadawał się conajwyżej do kosza redakcyjnego, ale z drugiej — nie chciano zadrasnąć miłości własnej autora. „Niezłe, tylko.... trzeba cokolwiek przerobić“, „Dobre, tylko trzeba poprawić“ i t. p. sądy wydali niektórzy z obecnych.

Następnie podniesiono kwestyę dostarczania „Sprawie Robotniczej“ korespondencyi z Królestwa i Rosyi. Pomiędzy delegatami warszawskimi był jeden rosyanin, student Instytutu weterynaryi, który zarazem należał i do warszawskiego komitetu robotniczego. On podjął się dostarczania korespondencyi z Rosyi. Na delegata zaś z prowincyi włożono obowiązek dostarczania ich z trzech gubernii Królestwa.

Stosunki z zagranicą, jak również i transporty, były omawiane bardzo pobieżnie. Właściwie nie było o czem mówić, gdyż wszelkie nici w tym kierunku były już przerwane. Wyłonił się także projekt założenia pisma w kraju. Prócz tego powzięto jeszcze kilka uchwał, które z powodu ich natury czysto-konspiracyjnej do druku się obecnie nie nadają. W końcu delegat-rosyanin opowiedział, jak to w Petersburgu wszelkie zebrania „socyalistyczne“ kończą się słowami: „a w każdym razie sztylet jemu (t. j. carowi) nie zaszkodzi“ — i tem posiedzienie zamknięto.

Cały ten zjazd robił wrażenie człowieka, który wie, że wkrótce musi umrzeć, ale nie chce w to uwierzyć. I faktycznie był to ostatni wysiłek partyi, po którym jako taka w kraju już nie długo istniała

Uczestnik.

Pokwitowania

KOMITETU ZAGRANICZNEGO P. P. S.

za czas od 23 października do 19 listopada r. b.

Na fundusz partyjny: Opłaty członkowskie: Londyn Oddział — 1 f szterl. 1 sz. 6 p.; L.: Stefan — 12 m., Chemik — 6 m.; Tejo — 5 m. 10 fen.; Fryb. — 22 fr; C. Wolski — 4 m. 80 fen; Lie. F. Niewiar. — 6 fr.; Ad. Świder i Zos. — 9 złr. 35 ct. Amerykański podatek 5centowy otrzymane a cto od Kom. Wykonawczego Z. S. P. w Chicago — 10 dolarów. Składki nadzwyczajne: Zur.: S. Łańska—zebrane na Litwie – 100 fr., M. Niedźw. — wyjęte z psa — 51 fr.; New-York „Związek Pomocy“ — część dochodu (cały dochód wynosił 83 dol. 30 ct.) z zabawy w Manhattan Lyceum 3 paźd. r. b.: na propagandę i agitacyę do użytku C. K. R. — 16 dol. 75 ct., na żyd. druk. part. — 16 dol. 75 ct; New-York „Związek Pomocy“: bony: Wittyg — 4 dol. 50 ct. i Mins — 25 ct, na Arbajtera: Mins — 1 dol. i Skulski — l. Nr 15 — 1 dol.; K. Przyb.: zebrane w kraju: na ośw. l. prac. l. Nr 10 — 6 rub. 65 kop. i 2 fr., bony — 2 ruble 25 kop.; Bruns.: lista na ośw. ludu prac. Nr 9 a cto — 2 m. 16 fen., bony — 1 m. 19 f., na f. ag. — 6 f.; Z. Laszka — zebrane w kraju: lista na ośw. ludu prac. Nr 2 — 7 r. 10 kop.; K. Niemcy — dochód z tytoniu i herbaty — 40 m.; Londyn: St. Fraenkel na fund. part. — 1 szyl.. F. Wiśniowiecki: lista na fund. ag. Nr 46 — 2 sz. 4 p. i bony — 6 p., Oddział na wyd. żyd. listy Nr 12 i 15 — 2 sz., S. W. na emigr. — 10 sz.; Al. Wroński — 4 f. szt.

Na pismo chłopskie: Tub. F. W. — 1 sz. $1^1/_2$ p.; Londyn: H. Feuer — 6 sz $4^1/_2$ p., Oddział — lista Nr 1 — 6 sz. 9 p. i Nr. 2 — 3 sz. 3 p., składka bez listy — 2 sz. 2 p.; K. zebrane w Genewie — 17 fr. 20 cent.; Wiedeń zebr. w „Sile“ — 7 złr. 50 ct.; M. Brodn. — 2 m. 33 fen.; Paryż — D. Siem. — lista Nr 34 — 7 fr. 45 c.

Na więźniów politycznych: Cleveland na obchodzie na cześć towarzyszy pomordowanych w cytadeli warszawskiej zebrali socyaliści polscy – 7 sh. 10 p.; New-York „Związek Pomocy“ — część dochodów z zabawy, urządzonej w Manhattan Lyceum 3/X r. b. — do dysp. C. K. R. — 24 dol. 90 cent.; K. Przyb. — zebrane w kraju — l. Nr. 9 — 1 rub. 15 kop; Z. Laszka — zebrane w kraju — lista Nr 6 — 6 rubli; Londyn: Żydowski „Czerwony Krzyż“ — 1 f. szt. 10 sz., F. Wiśniowiecki — lista Nr 21 — 1 sz. 5 p.

Na fundusz zaboru pruskiego: D.: Schwarz — l. Nr 48 na w. z g. — 50 m., skarbonka w D. — 6 m. 65 fen., N. C. na w. z g. — 5 m.; Marjan — l. Nr 26 na ag. — 6 m. 70 fen.; Oskierko na agit. — 15 rubli; S. Łańska — zebrane na Litwie — 72 fr.; New-York „Związek Pomocy“ na w. z g. l. Nr 25: Skulski — 25 cent., Scherbtz — 25 cent.; K. Przyb. — zebrane w kraju — na w. z g. l. Nr. 51 — 1 rub. 95 k.; Z. Laszka zebrane w kraju — na w. z g. l. Nr 11 — 4 r. 50 kop., na ag. l. Nr. 10 — 3 r. 40 kop, na f. pras. l. Nr 10 — 4 r.; Ad. Świder — raty V-XII — 4 złr. 65 cent.

TREŚĆ:

Printed and published by J. Kaniowski, 67 Colworth Road, Leytonstone London N. E.